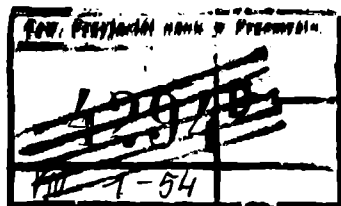


Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

~~42910~~

VIII - 1-54







*N<sup>o</sup> 738*

**Z METÓW.**

**BIBLIOTEKA**

**URZĘDNI: TOWARZYSTWA UB. W KRAKOWIE**

**SEKCJA IV.**



== JÓZEF MACIEJOWSKI ==

# Z MĘTÓW

ROMANSE SERVA II

WARSZAWA 1907 == JAN FISZER

A-20475

**BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN**

dit.-13a

K. 1160/56/2223



*Memu serdecznemu przyjacielowi  
Władysławowi Tarkowskiemu*

*poświęcam*



## TEGOŻ AUTORA

### WYSZŁY:

Opowiadania

Grzech

Romanse

### PRZEKŁADY:

Bibl. Dzieł Wyb. { Rodzina i Szkoła—W. M. Doroszewicza  
                          { Pojedynek—A. Kuprina

### UKAŻĄ SIĘ:

W kolisku

Bibl. Dzieł Wyb. Bajki—Szczedrina



**Z MĘTÓW**



## I.



aduch, stęchlizna, brud.

W dymie, wyziewach wódki, w odorze cuchnących betów, ubrań, resztek jedzenia, przy stole siedzi paru obdartych mężczyzn, kilka dziewczyn, kobiet o twarzach zezwierzęcenia.

Na stole porozrzucone butelki, w papierach resztki mięsa. Kieliszki, kufelki krążą naprzemian z ohydnyimi słowami brukowej wesołości. Czasem tu i owdzie mignie błysk rozpasanego oka, ręka zsunie się pod stół, wykona dziki ruch, chwytając za nogę lub w półpas siedzącą obok kobietę; czasem opiły głos ryknie zwrotkę piosenki, mieszając się z wykrzykiem napastowanej dziewczyny, wykrzykiem nie zgrozy, nie oburzenia, ale jakiejś strasznej radości pijaka.

Od śmiechu, od słów trzęsą się wzdęte z porodów łona kobiet, obwisłe piersi. Błade twarze, wyblakłe oczy palą się bezwstydem suterynowych szalów.

Po kątach niewielkiej izby, słabo oświetlonej zadymioną lampką, siedzą zbiedzone, wynędzniałe, rachityczne dzieci, umorusane do obrzydzenia. To jedno, to drugie wyciąga rękę w stronę zarzuconego pieczywem, mięsem i butelkami stołu; to to, to tamto woła — jeść — i w odpowiedzi dostaje ochłap: jak psiakom rzucają resztki.

Przy kominie, na którym krwawy ogień bucha, siedzi czternastoletnia dziewczyna. Siedzi skulona, milcząca. Patrzy na matkę, ojca, współlokatorów i gości ich. W dużych niebieskich oczach maluje się wstręt i podniecenie. Chorobliwe rumieńce kraszą schudzone policzki, rozwijająca się pierś faluje pod brudną bluzką, dłonie zaciskają się kurczowo. Kiedy spojrzy na sublokatorkę „grubą Kaśkę“ i jej „narzeczonego“ tęgiego Franka, kiedy dostrzeże, jak ten, siedząc przy dziewczce, obcesowym karesem chwyci ją za pierś, albo połaskocze, kiedy oczy dziewczęcia spoczną na cynicznej twarzy pijaczki matki, pijaka ojca, nie-



pojęty dreszcz wstrząsa jej wątłem ciałem. Czuje, jak krew zbiega do serca, czuje drżenie nóg, szum w głowie—budzącą się żądzę i wstręt do otoczenia.

I w tej chwili staje przed oczyma Felki moment, w którym raz, tak znienacka, zeszła na strychu Kaśkę z Frankiem.

Tulili się do siebie, leżąc na podłodze. Kaśce widać było obnażone nogi; obejmował ją Franek, cisnąc pierśią ogromne piersi grubej Kaśki.

Jakież ją wtedy wściekły ogień objął. Zatonczyła się jak nieprzytomna i chyłkiem, chyłkiem cicho zlazła na dół po drabce. O, ona doskonale wiedziała, co oni tam robili; doskonale wiedziała, co wogóle Kaśka robiła, skąd dostawała i za co prezenty, wiedziała o tem, jak i o wszystkim, co ohydne życie poddasza i suteryny rzucić może przed oczy, czem skałać duszę, czem zabić jakikolwiek pierwiastek szlachetniejszy.

Hałas przerwał rozpamiętywanie.

— Bodajeś zdech psia mać—oburzyła się ze śmiechem któraś z dziewcząt, broniąc się przed zdziczałymi uściskami swego sąsiada, szczupłego, niskiego wyrobnika.

— Antka, nie daj mu się, nie daj—wrzeszczały dziewczyny i kobiety.

O, o, komu to! Dostaniesz ty się tam akurat jak i ja! — ryczała matka Felki, górując nad śmiechem zidyociałego od wódki męża i kompanii całej.

— Dostaniesz się ty tam psia cie mać ho ho ho—to zafundujesz!

— Szlak bodajcie trafił, szlak, dyszała dziewczyna i, wyrwawszy się z rąk młodego mularza, pędem wybiegła ze stancyi.

Poleciał za nią odprowadzany chichotem zebranych i słowami:

— Po niej, nie ujdzie!

— A bo i pierwszyczna — zepsuta i tak! A która ta nie zepsuta!

— Kaśka — zawołał ktoś.

— Ohohoho! — zaryczano na tę uwagę, nie bez odpowiedzi porządnej ze strony Kaśki.

— Ja wama powiem chto tu cały — mówił barczysty, ślusarczyk i opiałą gębą zwrócił się w stronę Felki — ta — o, ale to jeszcze młódka, niech dojrzeje!

— Nie bój się, chciałbyś — zawołała matka Felki — niedarmok ci pachnie!

— Nie pierwszyczna — z czkawką i śmiechem odparł chłopak.

Felka ścisnęła nogi, skuliła się, bardziej ponurym, ognistym wzrokiem zmierzyła ślusarza i mocniej wcisnęła się w kąt przy kominie.

— Była to frajda — akurat ci fajerant miałem, człek pił, ciągnął ślusarczyk, rycząc to przycichając, a no wracało się do domu, aż tu niedaleko na Powiślu... tak pod okopem widzę idą dwie kobiety z jakimś starym. A że człek akurat leciał na babę pod te chwile, tak też podszedłem do starego, w mordem między ślepią huknął, że się z miejsca zwałił, babę jedną w piersi bac, aż padła, a na młodszą odrazu — alek psiakrew zaczęła uciekać i pokrzykiwać. Dogałem ci w krzakach i swoim zrobił.

Huknął kieliszkiem w stół i przychylił się ku dziewczynie, przy nim siedzącej. Oparł się bokiem na jej ramieniu, ręką opasując stan. Na kares ten nie zważał nikt, tak samo, jak i na powrót zdyszanej pary.

Wszyscy byli teraz zajęci opowiadaniem różnych ohyd z życia rynsztokowego.

Jedna Felka milczała. Zdawała się być daleko myślami od pogwaru raczących się po sobotniej wypłacie rodziców i ich przyjaciół — wyrobników różnego fachu.

Ten mówił o złodziejstwach, tamten o morderstwach. Kobiety obrabiały sąsiadki, gadały o tem, która z kim i kiedy miała dzieciaka, z czego się okazywało, że polygamia kwitła w całej okazałości i aż do wstrętu.

Tu sobie szeptano o zarazach, tam o interesach fabrycznych, a pośród tego zgiełku pito, przeklinano i darzono się wzajem pieśzcotami, raz wraz rycząc „jak Boga przy skonaniu“, albo „jak mamcią kocham“.

Tego rodzaju wieczory powtarzały się często i żłobiły w Felce obok odrazy chęć rozwiąłości.

Zazdrościła Kaśce, Marynkom, Antosiom, a jednocześnie myślała o tem, że izba brudna, smrodliwa, łachy stare, podarte, wódka wstrętna i ci wszyscy w izbie zebrani.

Ona by chciała czego innego.

Więc najprzód nie robić nic: nie gotować, nie pracować, nie bawić dzieci, nie pomagać matce

w niczem, potem inaczej się ubierać, być inną niż te Antosie, Kaśki i Mańki.

Chciałaby mieć dużo złota, wówczas nakupiłaby sobie tych różności, które widnieją z za wystawowych szyb; wówczas stroiłaby się jak te panie, jeżdżące w powozach, a pewno pięknie mieszkające w paradnych pokojach.

I miałaby zawsze koło siebie takich panów ładnych jak ci, co jeżdżą po „alejach“, chodzą sobie po ulicach.

Alboż to raz widziała to wszystko, wymykając się cichaczem przez Bednarską na Krakowskie, czy inną ulicę bardziej uczęszczaną przez szyk warszawski.

Alboż to raz śledziła bogate pojazdy, przypatrywała się z namiętnym pożądaniem bogatym wystawom pysznych sklepów!

A tak medytując, a tak marząc, wyslizgiwała się do komory, obok będącej, chwyciła za lustro zbite i bacznie przypatrywała się sobie. Nie była ładna, ale przecie czuła, że ma w sobie coś, co może ująć jakiego dorodnego w „celendrze“ bogacza. Mówiły jej to duże oczy niebieskie, gęsty włos płowy, smukła kibić, kształtująca się na gibką, ponętą, coś wartą. Twarzyczka sama, choć zbiedzona, choć blada

ale wdzięczna, szeptała dziewczynie dużo nadziei i Felka roiła o bogactwach, bo wtedy: przyjechałby do niej śliczny pan i pokochał, jak Kaśkę Franek, tylko nie tak, piękniej...

Szczęk butelek, podniesione głosy budziły dziewczynę z rozmyślań, głód, pokrzykiwania przywoływały do porządku szarego, nędznego życia. Toczyła wtedy po niem wzrokiem odrazy, poddając się kolejno apatii, beznadziejności, to złudom, że jej jutro innem będzie.

---

## II.

Dzień. Godzina jedenasta rano. W bu-  
duarze zmrok. Zapuszczone rolety, ciężkie plu-  
szowe portyery słaniają pokój w cień, cały wykwi-  
nt czynią niewyraźnym, jakby zatopionym w po-  
mroce, zahypnotyzowanym wonią perfum, kwia-  
tów, pachnideł, przenikających silnie ciepłą, du-  
szliwą nieco atmosferę. Tu i owdzie porozrzu-  
cane suknie, halki, spódnice, staniki, gorsety,  
rozmaite przynależności damskiej toalety z ko-  
ronkami, wszywkami, wstawkami. Tiule, gazy,  
dżety, paski, pierścionki, zapinki z cennymi ka-

mieniami tworzą nieład, tchnący jakimś zgorączkowaniem, bezrozumną igraszką rąk, które pomięły, porzucały kosztowne ubranie na puszysty dywan, kozetkę, foteliki, stoliczki.

Z poza portyery uchylają się lekko drzwi. Młoda dziewczyna przez nie zagląda. Zatrzymuje oczy w głębi pokoju, gdzie pod baldachimem z drogiej materji na szerokiem mahoniowem łóżku spoczywa, w niespokojny sen zapadłszy, postać kobieca. Prawie jej nie widać wśród puchów, jedwabi i koronek. Tylko ciemne gęste rozsypane włosy znaczą się czarną plamą na poduszkach, delikatny kształt rąk, chimerycznie na kołdrze wyciągniętych, odbija się lekko od pośłania wraz z konturem ciała, w zygzak ułożonem. Oddech w nieco szybszem tempie kłóci ciszę.

— Śpi, budzić nie budzić — mówi do siebie dziewczyna. — Wczoraj tak późno wróciła — ba wczoraj, raczej dziś — świtało. To się bawi! Ciekawe — kto ten może być? A niech sobie kto chce będzie ten stary bogaty krewny — co mi tam!

Stoi i patrzy.

— Nie wstanie i za godzinę. Nic nie mówiła, wyjeżdżając, ani mi w głowie budzić —

stara się powścieka i pójdzie. Dziś albo jutro wszystko jedno, bo to nie wróci, bo to raz tak było?

Z temi słowy zamyka bez szmeru drzwi, odchodząc do kuchni.

— Pani jeszcze nie wstała, zwraca się do czekającej, otyłej, przysadzistej jejmości.

— Do południa się wyleguje, cóż to?

— Ha, jak późno z wizyt wraca...

— Wraca, wraca — mruczy baba, nie wiedząc, co ze swoją osobą w kuchni robić.

— Już tu z godzinę jestem. Wczoraj byłam, przedwczoraj byłam, nikt nie otwierał.

— Bo nikogo nie było. Jeździłam do swoich, a moja pani była na wsi.

— Na wsi, na wsi. Latać to umi, ale pamiętać o bidnej sirocie to i nima...

— Przyjść trza jutro, bo nie wiem, czy się dziś będzie można doczekać.

— Łatwo gadać, zawołała jejmość krzykliwie — ale mnie taki sztuk drogi codzien wyrwać po parę złotych.

— Chyba rubli — zauważyła dziewczyna, zabierając się do porządków na kuchennym stole.



— Co tam panna wiesz! Rubli — widział kto — a choćby i rubli, to i co?!

— Ano panina to dobroć i nic więcej.

— Dobroć, dobroć — drwiąco przedrzyżniała stara.

Nerwowe dzwonięcie przerwało niechętną, burkliwą rozmowę. Dziewczyna pobiegła do pani.

— Kawę, Jasiu. Proszę cię podaj papierosy. Listów, gazet niema, był kto?

— Jest, proszę pani, niańka. Musiała sobie nieboraczka dobrze podpić, bo warczy a warczy.

— Niańka — rzekła z przekąsem Fili, przeciągając się na łóżku. Niech zaczeka, powiedz, a tymczasem podaj śniadanie i przynieś gazety.

— Aleć, chłopak był z magazynu, chciał się z panią widzieć.

— Cożes mu powiedziała? — zapytała żywo Fili.

— Prosił, żeby dziś albo jutro zaszła pani do magazynu, miała pani być wczoraj.

— Ach już wiem — przypomniała sobie Fili.

Kiedy wyszła służąca, zapaliła papierosa, leniwie schodząc na dywan.

Przeciągnęła się, uwydatniając w tym ruchu przepyszną budowę rozwiniętych piersi

i bioder, kształtną nóżkę, zgrabne ręce, szyję. Sploty włosów zwieszonych spadały do pasa z przechylonej w tył głowy, kilka pasem zatrzymało się na krągłych ramionach, kryjąc lekko piersi, nieosłonięte mocno wyciętą koszulą prawie przejrzystą.

Postąpiła parę kroków, przeciągnęła się raz jeszcze i, spojrzawszy wokoło na nieład, rozchyliła wargi uśmiechem.

— Wczorajsza zabawa taka w miarę bez zbytej pijatyki i nadużyć, a przedtem dwudniowa przejażdżka, troszkę pohulanki u tego poczciwego Krzysia. Mignął jej pałac, przyjęcie, młodzież, kobiety-przyjaciółki, nieco jej zdroszczące szczęścia...

Ona nigdy nie przypuszczała, że będzie miała tyle szczęścia, a przecież ma je, bo gdyby nie ono, to wszystko, co ją otacza, nie należałoby do niej.

— Rozmyślając tak, zrzuciła koszulę, przebiegła szybko pokój, niknąc za drzwiami do łazienki.

Po paru minutach wybiegła orzeźwiona zimną kąpielą, poczem zaczęła ranną toaletę od świeżej bielizny aż do wytwornego szlafrocza. Włosy związała w węzeł, podsiniałe oczy, nieco

pobladłą twarz podmalowała, wreszcie nerwowo weszła do gabinetu, znajdującego się obok sypialni. Była to istna bombonierka w stylu wschodnim. Kiedy Fili weszła i zadzwoniła na śniadanie, biała papuga, w olbrzymiej klatce umieszczona na stoliku, powitała ją krzykiem:

„Jak sie masz, bez złota ani rusz, tak to już!“

Fili nakryła klatkę serwetką, by się to powitanie nie powtórzyło więcej.

Weszła służąca ze śniadaniem.

— Przeprowadź staruszkę a potem przyszykuj wszystko w garderobie — suknia lila.

— Dobrze, proszę pani. Obiad na którą?

— Tak... koło czwartej. Starszy pan będzie, nie zapomnij o winie.

Fili osunęła się na niską sofkę i zabrała się do śniadania. W trakcie tego weszła niania.

— Prosiłam, aby mnie nie nachodzić. Pieńiądze posyłam, więc czegoż jeszcze?

— Tak to się zwracasz do mnie, tak to gadasz? Och Felka! — jęknęła otyła Maciejowa...

— Tylko bez żadnych komedyi! Niech mama powie czego chce i nie nachodzi — rzekła szeptem Felka. — Żeby on się dowiedział, nie miałabym nic dla was — zrozumiano chyba, co?

— Och Felka, cwanaśty się zrobiła — jęknęła stara. Przeszłaś ty Kaśkę — pamiętasz tę grubą, co to z nami mieszkała, kumając się z Antkiem Brzuchaczem i innymi.

Fili momentalnie opadło wspomnienie przeszłości—brudna izba, krzyki, bójki, pijatyka. Przypomniała sobie wszystko z lat dawnych, z wielkim niezadowoleniem, przykrością, niesmakiem.

— POCO to dawne wyciągać? naco? czy ja proszę? Ciągłe jedno wkoło, ile się razy przyjdzie mimo zakazu z mej strony. Czegóż chcesz?

— Och Felka, westchnęła z kłamiwą żalnością stara. Bida u nas, że aż strach och. Ty się pytasz, czego ja chcę? Kaśka mało za kąt płaci, stary niewiele zarabia, dzieciska podrosły, a Anka, tak jak ty, kwiatów sprzedawać nie chce. Ładna się robi, chociaż i nie to, co twoja uroda, ale by może w dostatkach se żyła, jakby komu znowu w oko wpadła. Trzy roki temu jak ty...

A co mnie to obchodzi? Wyrzekacie, rozgadujecie się, a wódkę czuć! Dosyć miałam u was, narobiłam się brrr... więc czego chcecie, zawołała szorstko — no czego, czego?

Uniosła się na kozecie, z nienawiścią i odrazą patrząc w obrzękłą, czerwoną twarz starej.

— Coś więcej możebyś dawała? Ciebie tera stać na to—takie pokoje, a suknie, a wozy.

Felka się roześmiała cynicznie i z sarkazmem.

— Śmiejesz się — łatwo to, jak się we wszystko opływa i tyle ma!

— Nic nie mam, rozumiesz? Ja sama dziś jestem nie swoją! Sprzedałam się i już, bo...

Z pod serwety, słysząc podniesiony głos swej pani, wrzasnęła papuga — bez złota ani rusz —

— O widzisz — bez złota... bez złota nic. Wasza izba, wasz brud taki cuchnący, rozpity, wstrętny łachmanami wołałam zmienić, a i...

Urwała. Oczy się jej roziskrzyły, poszerzyły.—No tak—dość tego — dość. Sięgnęła do szufladki stolika, wyjęła dwie pięciorublowki. — Macie i idźcie sobie. Do tego co płacę, do tych piętnastu rubli nie dam nic — jednego grosza. Mam, to dla siebie, nie za darmo, o nie—sprzedałam się—wybuchnęła chorobliwym, spazmatycznym śmiechem.

Z mętów.

**BIBLIOTEKA**

2

URZĘDNIK: TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE

**SEKCJA IV.**

— Nie dasz, musisz dać! inaczej zobaczysz...

— Tylko bez krzyków. Groźby nie przydadzą się. Cofnę to, co daję, wyjadę ze starym, będzie basta! Plaga z wami, plaga jedna! Cisnęła w starą złotem, zadzwoniwszy na sługę.

Stara porwała pieniądze. — Nie gniewaj się Feluchna, nie, jak nimożesz to trudno, rzekła, udobruchana nadspodziewanie dużym datkiem. Ja tu przychodzić nie bede, nie, ot czasem przysyłaj trocha wiency. Niech ta ci się szczęści jak najlepiej — mówiła z potulną łagodnością.

Weszła Jasia.

— Wyprowadź nianię.

— Niech ci Bóg wynadgrodzi — wola Jęgo, krztusiła płaczkliwie Maciejowa, wychodząc za Jašką.

— Próchno — syknęła Fili, zapalając papierosa i wyciągając się na kozecie.

— Och ta matka pijaczka pójdzie do szynku. Ojciec nie lepszy, a ta Kaška...

W myślach jej przesunął się cały obraz przeszłości pełen brudu i nędzy. Staął z ohydnyem zwierzęcem rozpasaniem, które,

wzbudziwszy ciekawość rozkoszy przez otoczenie, nie szczędząc zdzierania łusk z oczu, stawiania prawdy nagiej — zmusiło do ucieczki ku przepychowi, by wśród niego zaspokoić dręczące uczucia — namiętnego uścisku, pocałunku w ramce złota i atłasu.

Uciekła.

Poznała się z roznosicielką kwiatów, potem sama kwiaciarką została, wreszcie wpadła w oko pięknego starego pana i...

Spojrzała na wykwint pokoju, swój szlafroczek.

„Staruszek“ za pieśczołę dał jej o czym śniła — przepych, lecz poza tem...

Staruszka zaloty z wymowną bezradnością przy jej dziewiętnastej wiosnie — uśmiech litości na twarzączkę niosły, uśmiech pobłażania, bo Fili znała aż zanadto obok zmysłowej miłości całą rozkosz oddawania się kochankowi.

Olek — to imię krew mąciło, wprawiało ją w tęsknotę, podniecało. Jakżeby pragnęła tylko w jego ramionach żarem się upajać, tylko w pieśczołach tego ślicznego chłopaka drzeć rozkosznie, każdą na jego rozkaz chwilę mu poświęcać!

Gdyby Olek miał dużo, bardzo dużo złota, jak ten stary wydronek och la! Ale cóż śliczny, serdeczny Olek — panicz w kurateli i bardzo obdłużony — gdyby nie to... choć stary, stary podobno pewniejszy. Parę miesięcy znajomości i zabrał Fili jak swoją!

Dumania przerwał dzwonek i wejście Jasi z biletem.

— Ten pan jaśnie młody...

Fili porwała bilet i z okrzykiem cichawym Olek—kazała prosić. Jest czas jeszcze, pomyślała, zerknąwszy na zegar. Pierwsza. Do magazynu jutro pójdę, stary po czwartej ledwo przyjdzie — jest czas...

Poprawiła włosy i, przeglądając się w małym kieszonkowym lusterku, ułożyła się z kokieteryą na kozetce.

— Quelle pose! dzień dobry mon pigeon, bébé!

— Jak to ślicznie, jak cudownie zrobiłeś...

— Że przyszedłem? Wczoraj od papów wróciłem, no i jestem — Radaś Fili — Filette!

— No — tak cher — rzekła i rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, na które odpowiada się



pocałunkiem w usta, co też Olek uczynił, siedząc na krawędzi kozety.

— Jakaś ty Fili śliczna — zawołał szczerze elegancki szczupły blondyn — jakaś ty powabna Filette. Ach ten poczciwy Krzyś, że on nas zapoznał!

Pocałuj mnie Ol, no pocałuj, skorom taka śliczna. I porwała młodego człowieka w swoje białe ramiona, całując wymuskaną twarz i czarne jego oczy.

Filette! a poczciwy twój staruszek ha ha?

— Nie mówić o nim, szepnęła z dąsem, ale tak czarującym, że Olek długim całusem, jakby chciał wchłonąć ją całą, wpił się w usta dziewczyny.

— No więc dobrze, nie mówmy o nim i kradnijmy chwilę za chwilą, co Filette!

— To on właściwie to robi nam, a nie my jemu, bo choć zbytkiem Fili otacza, ale ona nie kocha staruszka, tylko ciebie, ciebie!

— Moje kocię, pantereczko... Coś mam dla dziciusia!

— A co — pokazać? — Przytuliwszy się do chłopca, z zaintrygowaniem przyglądała się małej misternej szkatułce.

— Ot co — zawołał młody człowiek, podając szkatułkę.

— Kolczyki! Olek szaleńcze, powiedz, ileś zapłacił!

— A Fili, Fili! tego się nie mówi i nie zgaduje — bo to nieładnie.

— Oleńku ja tego nie przyjmuję. Wiem w jakich jesteś tarapatach, kuratela, długi...

Ależ Filette! cóż to znowu? Moje długi, kuratela ojcowska — pha! dłużnicy są spokojni. Dałem wyższy procent, będą czekać, nie oni, to ich spadkobiercy odbiorą, zresztą, mimo kurateli — ojciec potrochu płaci — kto ma przeszło półmiliona i parę majątków — no cotam Fili to moja sprawa zresztą.

— Nie Oleczku i moja też. Chcesz Fili, zrobić prawdziwą łaskę i przyjemność? pytała, głaszcząc go po twarzy, skrzywionej niezadowolaniem.

— Fili, jeśli nie weźmiesz tych brylantów, zrywam! Fili, widzisz jakaś ty niedobra, prosił, Fili nie tłumacz i nie zmuszaj... to nie z moich pieniędzy, lecz z wygranych w klubie. Seryo Fili. Hrabia Lutek spłukał się w baczka i jesz-

cze w coś... nie weźmiesz, zamienię i przegram nanowo.

— A, skoro tak chcesz zrobić.

— Ależ tak, tak rozkosze moje!

A jak się kuratela i niesnaski z papciem skończą — pohulamy.

Kiedyż to nastąpi?

To rzecz mojej matki. Powiadam ci, pracujemy nad tem usilnie, bijąc w to, że trudno będzie mi się ożenić, o czem akurat myślę phaha, mając ciebie. Jak się wyzwolę, idziesz do mnie.

— Pytasz o to? naturalnie!

— Boska Filette pantereczko, bébé — tulił serdecznie dziewczynę do siebie — moje skarby, czarnoniciku.

Sliczne kolczyki — biorę, ale Olesiu pamiętaj moja — kasa na rozkazy.

— A — a ty Fili?

— Powiem ci do ucha.

— Cudownie, rozkosznie — Filette, pyszny pomysł! Więc pojutrze u mnie w willi śniadanko! Porwał dziewczynę w pół, uniósł w górę i wycałował w piersi, wychylone ruchem gwałtownym z koronek szlafrocza.

— A teraz uciekaj Ol, bo staruszek, staruszek... trzecia dochodzi — mam tylko godzinę.

— Oj — więc pas pas ślicznoto. Uściskali się raz jeszcze i młody chłopiec z aryjką na ustach wybiegł do czekającego nań własnego powozu.

Filette, nucąc, zabrała się do obiadowej toalety. Nie zdążyła zupełnie jeszcze jej wykończyć, kiedy służąca oznajmiła starszego pana. To ją wprowadziło w pewne zdenerwowanie. Czowała jeszcze uściski Olka. Kolczyki od niego, skrzętnie schowane do kasety z biżuterią, mówiły o kochanym chłopcu. O — powetuje sobie ona jeszcze te kilka lat nudnych zachcianek staruszka, którym zostać powolną, to znaczyło mieć to, co ją otacza i swobodne miłutkie życie. Na myśl o Olku i starcu, który czekał w salonie, przejmował ją smutek, przymus wesołości i swobody wobec kochanka — siwego. Ale cóż robić — niema róż bez kolców, powiedziała sobie, wychodząc do salonu. Czarująco wyglądała. Wdzięk młodości, podniesiony piękną toaletą, ogłada, pewność siebie, paroletnia szkoła, jaką przechodzą ładne dziewczęta posuwane do ról kochanek wytwornych siwych dżentelmenów, spryt do komedyi, umiejętność znale-

zienia się odpowiednio do sytuacji, wyrobiona życiem — wszystko to widniało w powabnej dziewczynie.

Podbiegła do rozpromienionego jej widokiem starca i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Trochę się spóźniłam, ale wybaczysz swojej Fili—zawołała, całując wytwornego słusznego wzrostu mężczyznę, starannie ukrywającego swoje lata. Można tego było dopatrzeć się w ruchach o młodzieńczej manierze, w skokach i lansadach, w pocałunkach i uściskach. Dość tęgi, szpakowaty z monoklem w oku, czerstwy na twarzy, szarpnięty przeżyciem, wyrafinowaniem, pan i władca wdzięków dziewczyny miał w sobie coś z salonowego lwa, któremu dobrze już jesienna pora z trudnością otwierała podwoje do rozkoszy.

Pocałunki, uścisk pełen galanteryi cechowała jednak lubieżność, tryskająca z szarych oczu, czerwonych policzków i jakby odętych warg.

— Ależ naturalnie, że wybaczam ci pieścizko moja. Zupełnie się nie dziwię. Po zabawie naszej u Krzysia, po naszym pożegnaniu musiałaś być zmęczona, choć ja czułem się

młodym, świeżym jak nigdy. To zapewne wpływ tych rączek, ocząt ha ha, biuściku no i tego... ha ha co?

— Fili spuściła oczy, uśmiechając się pociągająco. Raz po raz przeszywała oczami swego adonisa, który, posadziwszy ją na kanapce, śledził z uwielbieniem wiośnianie kochanki, wpatrując się w dziewczynę z lubieżnym zachwytem i romansowością w przygasłych oczach.

Przysunął się do kochanki i, wsparłszy szpakowatą głowę na jej ramieniu, upajał się zapachem jej ciała i perfum.

— Nie pogładzisz wielbiciela — powiedział dziecinnym głosem, brzmiącym prośbą. Twoje rączeta są takie miękkie, rozkoszne rączeta.

Fili się roześmiała. — Ach ty ty mój... mój... parsknęła śmiechem, zadość czyniąc prośbie.

— Kochanku — szepnął staruszek.

— Ach tak tak, mój kochanku, gołąbeczku młodzieńczy — podchwyciła Fili, cisnąc do swych piersi siwą głowę starca i w myśli dodając: małpciu.

— Ja z każdym dniem szaleję coraz więcej za tobą.

— I ja — nigdy cię nie opuści Fili!

— Za to ostatnie pożegnanie przyniosłem ci zgadnij pieszczoto?

— Nie wiem — nie, powiedzieć, nie dręczyć dziecka!

Miast odpowiedzi elegancki pan wyjął czek i podał kochance.

— Na dziesięć tysięcy! Jakiś ty dobry mój najdroższy!

Przytuliła się do niego, zadziwiona wielką sumą.

— Umieścimy to na hypotece na imię twoje Fili. Będiesz miała jakiś własny kapitał. A wartaś tego aniołeczku, pieścidełko moje.

Uniesieniom położył koniec obiad wykwinnie podany w stołowym pokoju.

Wśród dań krążyły kieliszki z winem, rozmowa toczyła się o pohulance u Krzysia, a przyjaciela starego lowelasa. Tylko oczy obojga mówiły sobie co innego, uśmiechy, szepty krótkie, lotne dopowiadały. Stare wino podniecało, drażniło. Lecz gdy potrącono o wesołego Olka, jasno rzucił się cień przymusu, sprytnie kokieterią tuszowany w postępowaniu Fili. Myśl o tamtym, raptowne

przypomnienie obudziło w niej gorycz do adonisa, wdzięczącego się coraz to natarczywiej. I Fili zaczęła pić bez miary, zalewać niewytłomaczony smutek węgiem, denerwować się czarną kawą i likierami. Niepomna wreszcie na nic, pół przytomna wstała od stołu i, ująwszy pod rękę dobrze podchmielonego kochanka, chwiejnym krokiem wyszła z nim do buduaru.

Z poza szczelnie zamkniętych drzwi wyrwał się spazmatyczny, rwany, pół cichy śmiech...

### III.

Dziwna kobieta i dziwacznym ten przepych, który ją otacza. Duży pokój, szarą wybitą materią, z szarymi meblami, tegoż koloru ramy u obrazów, świeczniki, dywany i te rozliczne drobiazgi, znamionujące kobiecość. Wszystko w jednej barwie harmonizuje z jej postacią — pełną, rozwiniętą. I jak na liściach smutek widnieje, jak bije on z drzewa, zapatrzonego w szarą ziemię, tak z wiotkich linii twarzyczki, oczu wionie melancholia. Zda się przenikać całą i roztaczać wkoło znużenie.



Biały długowłosy chart spogląda w przymglony wzrok swej pani. Pali ona cigarette, w kłębach dymu raz po raz tonie. Puszczony szlafrok siwawo—ciemny, przybrany walansienkami, w powagę przystraja młodą kobietę. Jej wzrok leniwie się włości po komnacie, leniwie zawisa na zielonkawych ślepiach psa znużonego. Mruży on wązkie szpary oczu swych i patrzy na panią. Ona zdaje się myśleć o czemś i tem męczyć się, chcieć czegoś a nie żądać—nie pojmować stanu uczuć, szemrzących niezrozumiałe tony jednostajne i senne.

Z poza szarych roleć przez okna płynie stłumione światło o barwie stali. W łagodności przyćmienia smutek tkwi, jakby daleki nieustanny gwar miasta, wciskający się wraz z nim, monotony pulsem życia, kładł w blask siwawy swe smutki, bóle i radości.

Fili słucha zmatowanej odległością wrzawy, zrasta się z nią myślą, sercem.

Na jej twarzy nie widać ani goryczy, ani uśmiechu — jedno zniechęcenie.

Ten pogwar...

Cała przeszłość obrazami sunie przed jej wzrokiem, wszystko, co przeszła od nędzy w młodzieńczym wieku, od tego, czem oczy

paśla a duszę kształciła, aż do komfortu chwili obecnej, który zdobyła wymianą urody swej na złoto, własnem wyszarzaniem w objęciach starca, młodzieńca...

Ciasne koło hulanek, bachanalii, trwonienia sił dla użycia — wreszcie dużo złota i przesyty... przesyty... przesyty...

Ona to czuje. Wychyliła jeden z puhałów istnienia do dna, ma dość napoju, każą jej pić jeszcze, jeszcze. Każą? Nie, to — to jest właściwie podają nowy puhar takoz musujący jak pierwszy — i ona pije bez smaku, bez woli — sama nie wie dlaczego. Jak długo to jeszcze potrwa? Jak długo będą jej jeszcze podawać ten puhar, który kiedyś porywała sama, haustem go opróżniając. Tak — porywała go sama dla przepychów, dla ciekawości jak płyn smakuje. Skąd to się wzięło u niej, owo rozdmuchnięcie żądz i pragnień złota? Nie wchodzi w przyczynę. Czuje tylko teraz chęć zerwania z przeszłością, chęć zejścia się z kochankiem, to znowu żal jej jednego i drugiego — sama nie wie zresztą...

Oleć...

Zmienił staruszka, ożenił się później bogato i teraz pławi się w rozpuście. Ona wie

doskonale, że prócz niej i żony są i inne, zaszczyczone względami Aleksandra, że dawne dla niego uczucie stało się dzisiaj przyzwyczajeniem, bez którego może się obyć. Och, bo ją znudził, znudził tak samo jak starzec, jego przyjaciele — jak wszystko.

Położyła się na kuszetce.

Będzie wolną, zupełnie wolną, myśli, paląc cigarette, ubędzie dwa tysiące dochodu, ależ kpi sobie z tego, stary jej zostawił dosyć no i inni, a wreszcie i sam Olek taki wkóło jeden nudny przeżyciem, starością w postępowaniu, w obejściu — brrr...

Więc zerwać — Zabezpieczy byt rodzicom pijakom, siostrze szwaczce, nie będzie nikogo widywać ze swoich — odetchnie... tak — tak...

— Jacy oni wszyscy jednakowi ci mężczyźni, nieciekawi.

Przeciąga się niedbale, przywołuje charta, który zaczyna się łąsić do niej, zadowolony z głaskań.

— Wierniejszyś od tego co mi cię darował i mniej nudny, mówi w pół do siebie w pół do psa. Och tak, Oleś ją zaniedbuje. I dziś z pewnością nie przyjdzie. Naturalnie. W ostatnim czasie zupełnie ochłonęli dla siebie, tylko

chwilami, ot z przyzwyczajenia, budzi się w nich, a raczej w nim, ochota do pieszczoty. I gdzież te dawne? Gdzież pocałunki, gorące uściski, gdzież ten jej pociąg, rwąca fala pragnienia, jaka rozsadzała pierś?

Niesmak jeden, niesmak...

— List proszę pani—przerywa myśli służąca, podając szczerze zapieczętowaną kopertę.

— Od Olka, rozumie się, jego pismo. Koperta opieczętowana i ciężka. Rozrywa ją i wraz z listem wyjmuje parę banknotów.

— Ach! c'est ça. Zaczekaj, wyślesz odpowiedź według adresu. Sługa czeka.

Fili tymczasem rzutem oka list czyta. Domyślała się—pożegnanie, spodziewała się czegoś podobnego. Z uśmiechem ulgi ale i przykrości odpisuje.

„Dzięki — zgadłeś me myśli“...

Oddała list Jance.

Jest więc wolna. A teraz co? Czy nowy korowód miłosnych chwil, płatnych rozkoszy, uścisków, pocałunków? Czy nowe zdrady, pohulanki, stroje, brylanty, powozy? Czy nowi starcy, młodzieńcy, nowy banalizm, przyklus niejednokrotny? Może...

Poza tem nie widzi nic. Poza tem, prócz dawnych obrazów, nic.

Wróćą, a jeśliby nie, to co! czegoś, czegoś pragnie niejasno; brak skrzydeł do jakichś lotów. Utkwiła oczy w duży obraz, kiedyś jej ofiarowany za noc szалу przez wybitnego malarza.

Płótno przedstawiało bagno, z którego wylaniały się dwie postacie: nędza i rozpusta. Z ich objęć postać dziewczyny rwała się bezradnie przez obręcze złota i chuci, rwała gdzieś w opary mgielne nad trzęsawiskiem obwiśnięte gimurą. Ku tym oparom wyciągała dziewczyna swe ręce gestem cichym, zagadkowym.





**ROMANS**







zekała tego tylko, aby on wyszedł. Trzask drzwi frontowych oznajmił jej to i wtedy przysła obawa, że on mógłby pozostać, przyjść do buduaru i zanudzać ją szarą, zwykłą domową rozmową, że mógłby opóźnić swe wyjście. Jedno i drugie czasami się zdarzało; jedno i drugie, kiedyin-dziej obojętne, w ostatnich tygodniach mogło ją przyprawić o migrenę, zepsuć cały wieczór, doprowadzić do złości. To też, kiedy poczuła się samą, odetchnęła z zadowoleniem, radością nieomal. Spojrzała na zegarek.

— Nie będzie sobą krępował — rzekła do siebie, a za pół godziny... szósta, za pół...

Nie kończąc myśli, altem poczęła nucić jedną z popularnych operowych melodyj i poprawiać szybko toaletę.

Przeczesanie blond włosów z dorzuceniem gdzieś filuternego loczka, parę muśnięć pudrem gładkiej, blad różowej twarzy o wyrazie lalkowatym, perfumowanie, wreszcie zmiana bransolety na bogatszą i pierścionków—wszystko to zajęło parę minut, a gdy zostało ukończonem, całość raz jeszcze była poddana krytycznemu rzutowi niebieskiego oka. Musiał ten przegląd wypaść zupełnie dobrze, bo młoda kobieta uśmiechnęła się, ujrawszy się w dużej lustrzanej szybie. Zrobiła przed nią maleńkie tournée, poczem usiadła na opodal stojącym karle. Zamyśliła się. Twarzyczka przybrała wyraz spokojny, trochę żalony. Trwało to chwilę. Oczy, któremi obrzuciła pokój, pojaśniały.

— Kto wie, a może lepiej się stało — szepnęła i znów poczęła nucić znaną aryjkę z którejś operetki, chodząc po buduarze. Pewne roztargnienie widniało w każdym ruchu, lekka niecierpliwość. W całej postaci wysmukłej, dobrze rozwiniętej, tkwiła pewność, granicząca z tą swobodą światowców, swobodą wykwinną, nieco zmanierowaną. Pospolitość, przeciętność położyła wyraźnie swoje piętno, przeważała nad czemś niepochwytym, a po-

zwalajacem się domyślać, że ta kobieta nie jest taką sobie zwyczajną, jakich setki. Przeszedłszy kilka razy buduar, istne cacko, pani Lena ze wzrastajacem zniecierpliwieniem otworzyła drzwi od salonu.

Po chwili znalazła się przy oknie. Ulica z szarą zwykłą publicznością nie zajmowała jej zupełnie. Zasepione czoło, jakaś rezygnacya, ponowny moment smutku oszarzył wyraz tej kobiety. Złożone zazwyczaj do uśmieszku usta opadły w kącikach, a wzrok bez ognika wesołości wskazywał żal.

Tym razem piosnka zamyślenia nie przerywa, słowa odpowiedzi samej sobie milczą długo, wreszcie szept słyhać w ciszy.

— A jeśli on mógłby być dać mi więcej nad to, co posiadam, a jeśli ten jego świat lepszym jest od mego?

Pewne zażenowanie oblewa delikatnym rumieńcem panią Lenę. Złapała się na gorącym uczynku i to już nie po raz pierwszy: rozmyślań o nim; a dalej spostrzegła, że jej zachowanie się w chęci przypodobania, to nie jest ten wrodzony tik do toalet, ładnego wyglądu, że jedno i drugie lekko zabarwia małe zajęcie

się dawnym, starym, a głośnym dzisiaj znajomym i przyjacielem męża.

Silny dźwięk dzwonka machinalnie tamuje słowa, popycha ją ku drzwiom, w których ukazuje się wysoki brunet—oczekiwana sława. Ta sława znakomitego muzyka w obojętności Łonicza nie była wcale widoczną. Nic dumy, nic pozy, zarozumiałości—ot swoboda trochę ekscentryczna, trochę dziwaczna, stanowiąca urok, niezaprzeczone wdzięk w ułożeniu *connaissera* różnych warstw, znawcy, który w towarzystwie nie przebiera i potrafi wszędzie być na właściwym sobie miejscu. Ukłon, jakim powitał panią Lenę, łagodny w pochyleniu przed nią, zmrużenie czarnych oczu, podanie ręki odrazu ujawniło nieskrępowanie, obojętność na komfort stylowego apartamentu. Postąpiwszy ku pani domu, spojrział jednocześnie na nią i na krótki czarny fortepian — pieścidełko.

Skłowska widziała tylko oczy, skierowane ku niej, wzrok chimeryczny takież może, jakim musiało być uczucie, które go podyktowało, czyniąc zagadkowym, rozmaicie dającym się tłumaczyć. Ten wzrok przyciągał i odpychał, czuła to. Lekki uścisk za przeciągły, uśmiech niejasny, jakby szczery, jakby serdeczny a przecież ironiczny—

nie uszły uwagi i opanowały jak zawsze, a może silniej.

— Miło mi zadość czynić łaskawym względem i zaproszeniu.

— O czym byłbyś pan zapomniał, gdyby nie traf spotkania się naszego podczas spaceru, powiedziała, wskazując mu obok siebie miejsce.

— Zapomniał — pani to mówi półseryo, a więc nie bardzo własnym słowom wierzy i słusznie. Byłbym i bez tego przyszedł.

— Uśmiechnęła się z fałszywą niewiarą.

— Och tak — rzekł, zauważywszy ten uśmiech — towarzystwo pani, wspomnienia, a potem lubię czasami pograć w tym przybytku... — przeciągnął z namysłem — no, stylowości w każdym calu...

— Merçi.

— A wie pani, rzekł z nieznacznym ukłonem, ten salon, zwłaszcza tak... tak karminowo oświetlony jak teraz i kiedy mam za słuchacza tylko panią, nieraz usposabia mnie do...

— Gry, imponującej temperamentem i techniką, czy nie?

— Obawa maleńka o to cacko — wskazał na fortepian.

— Złośliwość — niezasłużenie, powiedziała ze skargą, dąsem a pieszczotliwie.

— Jeżeli, to nieszczera — wierzaj mi pani. Stary znajomy i tak dobry znajomy, podkreślił, nie zdobyłby się na złośliwość — cóż znowu? Za to ten Böcklinowski satyr patrzy na nas z ironią...

Prędzej ucieczka kobiety w głąb lasu tak go usposabia.

— Może, w każdym razie obraz piękny jak zresztą wszystko do najmniejszej bagatelki. Henryk potrafił ocenić panią. Pamiętam, przepych był jedynem z marzeń pani, salony, towarzystwo i t. p. to inne i ja to lubię, ale...

— Niema zapewne człowieka, któryby nie pragnął tego?

— Tak pani sądzi? Kiedyś mówiłem, że jednak są tacy, co im to zupełnie jest obojętnem i niepotrzebnem do istnienia.

— Nie rozumiem takich ludzi.

— Wiem, wiem, jednakże są. Są to inni niż nieobecny mąż pani. Gdzież Henryk? pewno znów tam jaki interes korzystny przeprowadza?

— Wyszedł dość dawno — celu nie wiem, to także „nie moje“.

Dopiero kwiaty z tego, które się zrywa?  
Uśmiechnęła się, potakując głową.

— Ach to także było jednym z marzeń pani?

— Wszystkich pan nie będzie wyliczał przecież — zaśmiała się.

— Kiedy ładne i — wygodne, parbleu, bardzo wygodne... taka dróżka różowa, ogromnie różowa, wycodził z lekką ironią.

— Jednostajności, coprawda lepszej od szarej.

— Przeciętника, czy tak? Ach, pani Leno, życie nie w blasku złota, nie złagodzone sztywnością, konwenansem, ma wartość wspaniałą dzięki walce. Nie znasz pani takich, jak nie znasz chwil, co wyciskają piętno swe ostro i prowadzą do... różne są drogi dróżki, różne finale.

— Jakie na przykład?

— Och, choćby obojętności albo...

— Albo?

— To zależy — tak to zależy — powiedział z naciskiem.

Zamienili spojrzenia, urywając na moment rozmowę. Jej wątek, starannie formą wyrażenia kryty, zbliżał się po raz pierwszy do prze-

szłości, potrącał o nią bardzo nieznacznie, zwłaszcza zdaniem końcowymi.

— Tak pani, finale bywa bardzo różne. Trudno to przeczuć, trudno chwilę odgadnąć.

— Te całości, które...?

— Znajdują wyraz naprzykład w grze z temperamentem.

— A w żalu? Pan nie wątpisz? Czasem żal przeszłego, żal tego...

— Co mogło zbudować inny pałac nad posiadany. Ale, czyjaż wina, gdzież ona? w czym?

Lena milczy.

— Nie w marzeniach, nie w pragnieniach— w owem odbiciu żądań? Tu... bardzo, bardzo pięknie jest, mówił po chwili, bardzo swobodnie a często huczno, wesoło podobno. O czym pani myśli?

O tem, co słyseż od pana, rzekła, wsparłszy się na fotelu, przymykając oczy.

— Naprawdę. O tem? spytał cicho. Spojrzeli na siebie, rozumiejąc cautyleny dźwięki, cautyleny— dwugłosu, powstałego z duszy, z serca, zbudzonych nanowo.

— Stało się, powiedziała ledwo dosłyszalnie.



— I dziś dyssonanse, czyż tak? powstał z krzesła i podszedł do obrazu.

Nie odpowiedziała. Rzuciła za nim oczyma, niespokojnymi oczyma smutku i cichego bólu.

— Czy nie wierzysz, pani Leno, rzekł Łonicz po długiej pauzie, albo może zdaje ci się jak i wtedy i dziś jeszcze, że miłości rdzeń leży w przepychu, dobrobycie, swobodzie i nie potrzeba poza tem niczego?

— Mylisz się pan, rzekła żywo do stojącego przed nią, to jest konieczne, lecz prawa serca pozostaną prawami, leżącemi poza tem wszystkim — niewystarczającym.

— Aa, pani tak mówisz? — pani, dawna panno Leno?

— Dodam tylko, że jednak życie trzeba brać na trzeźwo więcej niż...

— Więc zmiana jest, niewielka ale jest — albo też...

— Skończ pan.

— Słowa, w które nie bardzo się wierzy. Pani sądzisz, że jesteś szczęśliwa?

— Jestem nią o tyle, o ile wogóle można nią być.

— Nie pani, nie pani Leno. Przeszłość nasza mówi co innego. O, ja w nią—wierzę, rzekł raptem.

Zapłonila się, przelękla. Jego słowa—nieomal wyznanie. Nie odpowiedziała nic, tylko we wzroku utkwionym w Łonicza widoczny był gniew pomieszany ze słodyczą szczerego, tłumionego zachwytu, co przejmuje każde kobiece serce na odgłos miłości.

Więc on kocha, kocha ją, zapomina jednak, że ona jest już mężatką, że nie wolno do niej w ten sposób mówić.

— Niepodobna zapomnieć o tem, czem jesteśmy — rzekła chłodno.

— Wie pani, ciekawe. Ten wasz świat no i częściowo mój, t. j. odkąd estrada zezwoliła nań — ma pojęcia, z którymi trudno mi się godzić. Najprzód myślicie piękne panie, że miłość może się skończyć, może być zamieniona na inną... — jak jaka. Miłostka tak — miłość nie. Sądząc inaczej, nie bierzecie ogromną większością narówni z mężczyznami uczucia za nieodzowny postulat w małżeństwie, śmiejecie się z tego. Popełniamy gwałt dusz, gwałt serc dla interesu, a mojem zdaniem zbrodnię i każdy pamiętać o obowiązkach. A gdzież le-

galność związku? jakież jej fundament,—w pogwałceniu prawa i to ma mieć walor?

— To jest przyjęte. Złe czy dobre, rzecz inna — jest jednak prawem. Pańskie zdanie słuszne pomija bądź co bądź ewentualność miłości, która może przyjść z czasem i to bywa. A zresztą ludziom zawieranie związków z rozsądku czyli dla interesu, dla bytu jakiego takiego — wystarcza.

— Nie, pani Leno. Natury takie zadowolonymi być nie mogą. Pani sama we własne słowa nie wierzy. Potem jak nazwać kobietę, szukającą partyi, materyalnego dobrego położenia, utrzymania przez małżeństwo, jak nazwać kobietę, włóczoną z salonów-rynków na koncerty, zabawy-rynki i wystawiającą siebie na pokaz, a czyż tak nie jest? Jak nazwać kobietę, która bezczelnie łamie przysięgę?

— A jak pan nazwiesz takich mężczyzn?

— Niech mi pani wybaczy — szubrawcami, dla kobiet, jako kobiet, trzebaby delikatniejszego wyrażenia — rzekł nerwowo.

— No tak! Więc nie można się podobać, nie można kochać jak tylko raz jeden, jedy-ny — daruje pan...

— Można — chodzi mi o to tylko, aby to uczucie było, aby była miłość, poza tem przyzna pani, że pierwsza najpiękniejsza i najgłębsza — wzlot serca potężny, wzlot ogrom... Nam to mówić?

— Rzucasz pan obelgą w twarz ludziom, a przecież warunki — szepnęła półgłosem.

— Któż za nie ma odpowiadać jak nie my sami? Prawda, znajdować się można mimowolnie w położeniu, za jakie wina nie na nas spada: czasem jednostka cierpi za ogół i odwrotnie — ale nie jest że to znowu złem, wytworzonym przez ludzi? A potem ileż razy warunki nie grają roli lecz herby, parantele lub co innego tak lichego...

Skłowska milczała.

— Cóż mówić więc pani o obowiązkach, o prawach, które śmiesznymi bywają, a ileż to razy poprostu nikczemnostką! Ale nikczemnostka w zasadzie, jeśli wygodną jest, a probuje się.

— I — i to się nie zmieni...

— Jak fałszywa uczciwość, dorzucił Łonicz, biorąc kilka pasaży. — A... a wie pani, w czym leży niezbite prawo miłości, na czem ono polega — na prawach natury.

— Ufam temu niezachwianie. Wszystko zresztą przeciwne prawom natury jest zbrodnią. Ta zbrodnia czasem w szaleństwach szuka odwetu, w szaleństwach dla wielu, w słusznem dla niektórych.

— Odpowiem na to utartem aż do banalności zdaniem — wszystko jest zagadką.

— Z podkładem komedyanctwa — rzucił Łonicz, podchodząc do niej.

— Wynudziłem panią.

— Skądże znów?.

— Uciekam.

— Nigdy na to nie zezwolę, zostaniesz pan na cały wieczór! Cóżby Henio powiedział, dowiedziawszy się, że pozwoliłam panu odejść. Jeżeli jednak nudzisz się pan ze mną, powiedziała czarująco, w takim razie...

— Z panią? Miałbym się nudzić?

Ujął jej rękę i, trzymając w swojej, pytał spojrzeniem o smutek, który dostrzegł w jej oczach.

— Zostaję, rzekł, całując różowe paluszki. Widzę w oczach smutek.

— Powiedziałaś mi pan prawd gorzkich za dużo — wymówiła poważnie, cofając dłoń z uścisku — prawd, nad którymi nie za-

stanawiamy się, wcale alboza późno. Spodziewam się w imieniu mojem i mego męża, że w nagrodę będziesz pan i nadal częstym gościem; a teraz trochę, chociaż troszkę piękna... Przenieś mnie pan w swoją krainę.

— W krainę tonów?..

— Kocham je zawsze, zawsze...

— Szczęśliwe, szepnął ironicznie. Spojrzał przytem na nią wzrokiem, przepojonym goryczą zawiedzionego uczucia, miłością rozbolełego serca, szamoczącego się z czemś ukrytem, utajonem, a przejmującym lękiem, z czemś, co niepokoi, denerwuje.

— Przymknęła oczy, odczuwając ten wzrok, odczuwając dreszcz chłodu wywołany nim.

— Zagram—mówił Łonicz, patrząc na nią, zagram... z temperamentem tak jak kiedyś, jak dawniej—doszeptał.

## II.

Wyszła do niego w negliżu, odsłaniającym wydatny, pełny biust, białe ręce, miękkie, krągłe ramiona, toczoną szyję. Filuterny uśmiech zmysłowych ust palił się wyrafinowaną, kierowaną rozumem, obmyślaną pieśczęcią i skrzył

oczy piwne, oblewając zmęczoną twarzączkę nieznacznym rumieńcem. Bardzo niska a harmonijna w liniach, łukach, zaokrągleniach ciała wyuzdanym, obliczonym ruchem, każdą pozą przedstawiała doskonały typ kochanki — zwierzątko, kotki, dybiącej na podniecenia rozkoszne, których nigdy nie miała dosyć.

— Już myślałam, że nie przyjdiesz, że cię znów zatrzyma co: żona, interesa, ale, ale czybyś mógł choć jeden dzień zostawić mnie samą Heniutuniusiu mój — powiedziała śpiewnie, całując kilka razy rośłego, eleganckiego szatyna, który, ujrawszy ją, porwał się z krzeselka i z niecierpliwością pobiegł ku niej.

— Moje rozkosze, zawołał, wzięwszy pokraśniałą w ramiona i, przytuliwszy do siebie, całował mocno, delectując się ciepłem, bijącym z obnażonych ramion, rozweselonej twarzączki, gorącym oddechem rozchylonych grubych warg.

Przywitanie obcesowe, wyrażające dosadnie pożądlivość obojga w przywarciu ciał do siebie, trwało w szeregu raptownych niezliczonych uścisków, które zrywały się wśród śmiechów nawpół cichych i zachwyków, spoczynków ust na ustach, wśród pocałunków rozmaiętniających, i obiecywało sploty rac, fajerwer-

ków, fajerwerczków, w miarę kuszących, tęższych i tęższych siłą żywiołowości ze strony kobiety, która ujarzmiła mężczyznę odrazu, ale mężczyznę bardzo zmysłowego, bez idealniejszych pierwiastków, zimnego na piękno prawdziwe ot takiego Skłowskiego, który żył gotówką, interesem i nasyceniem się, namiętnością, ugaszeniem nerwów, spragnionych zadowolenia instynktu, tylko instynktu.

Gwałtowna wybuchowość obydwójga, wyczerpująca szybko, cynizmem zachowania się charakteryzowała wybornie ową niszność natur, w których przeważa gruboskóra przyjemnostka, ostra i jaskrawa.

Biło od niej w buduarze, do którego przeszli, a którego urządzenie bez smaku, pobudliwe, drażniące przypominało ordynarny śmiech podpiłej dwójki, śmiech opasłej ćmy i jej amatora, śmiech przykry fatalną nutą.

Kosztowna pospolitość, banalność na każdym nieomal kroku raziła wyrwasem — cennym, drobnostką w rodzaju starego sztychu, świetnej makaty, pięknej miniatury, które tanią okazyjką przez licytacyjkę czy coś podobnego dostały się przypadkowo pogromicielce zmysłów głupca — wielbiciela, drogiej Fifince. W jej objęciu



Skłowski zawsze przyrzekał prezencik jaki, rozczulony dowodami miłości.

Powtarzał zawsze swej Fifince — jakaś ty bujna, słodki karaluszka, wulkaniku. Chichotała się w odpowiedzi i drażniła swoją pięknnością, to dwuznaczną rozmową, nacentkowaną dowcipem z rysztoła, dowcipem spiżmowanego błota. Skłowskiego czarowały takie chwile. Dalekim był on wtedy od żony, przyjaciół, interesów, zrobienia gotówki oraz domowych zabawiań, t. j. teatru, odczytu, koncertu, albo jeszcze nudniejszych kwestyj o celach znaczenia publicznego.

— Ha ha ha — śmiał się tubalnie — Fineczko moja, u ciebie o wszystkim człowiek zapomina, a zwłaszcza o całkiem nieciekawych sprawach.

— Jak co, jak co Kiteńku, cielątko, jak co?

— A ot choćby drugi koncert tego mego przyjaciela. Mówiłem ci o nim.

— Ach, Łonicza — idziecie, idziecie... Kiedyż to?

— Za dwa tygodnie, ale bilety już kupione. Tyle przynajmniej, że znam go i mogę, uważasz, poszczycić się koleżeństwem przed tym i owym, częstym przyjmowaniem go u siebie.

— Musi on mieć pieniądze — sława, całe ci miasto o nim gada. Po kawiarniach, po cukierniach, na ulicach...

No tak, tak. Ale też dyabło każe sobie płacić za bilety na te swoje grajkowanie — osiem rubelków para, daję ci słowo. Wolał— bym tobie co kupić...

— Albo żonie, hm?

— Tyle razy prosiłem cię Karaluszku, abyś o niej wogóle nie wspominała, bo nie warto i psujesz mi tylko dobry humor.

— Już nie będę, nie, ale pocałuj w szyjkę — rozkazywała, kokietując swego pana dekoltażem mocno sperfumowanym.

Skłowski sumiennie wypełniał ten rozkaz, kilkakrotnie powtarzając go nawet, co Fifinę pobudzało do śmiechu głośnego i zarazem dawało hasło chaotycznym igraszkom, kończącym się znużeniem oraz małą pijatyką. Fifina przyprowadzała wtedy do ładu swoją toaletę, nuciła drastyczne piosenki, niedwuznacznie zachęcając kochanka, by jej przeszkadzał w ubieraniu.

Skłowski w lot podchwytywał każdą okazyjkę. Przekomarzali się z bezwstydną braurą, dalecy od ekstatycznych napięć wytwornych natur. Tym igraszkom nie byłoby koń-

ca, ale jego wyczerpanie, późna pora, wreszcie chęć dłuższego spoczynku kładły im tamę i Skłowski dobrze po północy wymykał się ze swojego raję, zmęczony pieszczotami karaluszka, wycieńczony wesoło spędzoną chwilą.

W stanie znudzenia, obojętności wkradł się cicho do swego mieszkania. Zachodził bez najmniejszego skrupułu, bez najmniejszego poczucia winy względem swej żony, obojętnej zresztą na nieobecność mężulka i jego postępowanie.

I teraz, kiedy usłyszała szmer w gabinecie, zwiastujący powrót Henryka, udała, że śpi bardzo mocno, że nie wie, co się wokoło niej dzieje, cierpliwie bez ruchu żadnego oczekując, aby się on położył i światło w sypialni zgasło, a nastał bladoróżowy ton ampli.

Tego wieczora pani Lena nie zmrużyła oka. Po wyjściu Łonicza, który dość wczesnie opuścił towarzystwo pięknej pani, myśli nie dozwalały zasnąć. Nie zastanowiła się nad tem, że długie godziny bezsenności powtarzały się coraz to uporczywiej w miarę częstszych odwiedzin mężowskiego przyjaciela, że były one częstszymi niż dawniej, to jest w okresie tej

obojętności, jaka przyszła po chwilowym szale zmysłów, szale poślubnych nocy, wstrętnych choć rozkoszą roztarganych. Wstręt wziął nad rozkoszą górę, zmógł ją. Tak: wszelkie późniejsze ze strony męża zachcianki zostały przez nią zrazu biernie, poddańczo, bez zadowolenia przyjmowanemi, później stopniowo odraza jej i chłód, zaciętość, rozwścieczenie z tej odrazy płynące, wyrugowały prawa mężowskie niemal zupełnie, ograniczyły je do minimum. Stosunek oziąbnął. Życie ich pobiegło dalej drogą podobną do drózek całych setek małżeństw z konwenansu i dla dobrobytu po uszy, małżeństw — parodyi, w których kobieta stoi na równi z prostytutką, w których mąż jest nabywcą i niczem więcej. Pani Lena nie potrafiła powiedzieć sobie tego, czuła to jednak. Wyszłam bez miłości, wyszłam dla używania, płynącego ze złota, wzgardziłam porywem serca. Zapatrywania Łonicza, jakby zaczajone w ciemnościach zdala od niej, uderzyły ją prawdą, wobec której uczuła całą hańbę swojego postępku — sprzedaży i to z własnej winy. Przecież mogła postąpić inaczej, przecież mogła wyjść za Juliusza, człowieka, który kochał, kocha ją, któremu mogła być wszystkim, wszystkim.

Poruszyła się niespokojnie, rzuciła na posłaniu. Hamowane westchnienie żałosne, ciężkie, spazm nagłej rozpacz, porwały ją jednocześnie i przeszły w gorączkowość. Teraz myśli opadły ją gwałtownie, miażdżąc ów gmach, ów „posiadany przez nią pałac“, jak się wyraził Łonicz, a zbudowany z czego? Z przyjętych obyczajem praw i nielegalności, jak słusznie Juliusz twierdził.

Poruszyła się niespokojnie. — Tak, tak, szepnęła, z nienawiścią spojrzawszy w stronę Henryka. Czem on, cóż wart, co ją obchodzi właściwie?

Jej ruch, jej szept zwrócił uwagę Skłowskiego, który nie spał, kołysany lubieżnymi wspomnieniami Fifiny i żalem, że jej nie ma przy sobie.

Na chwilę zapomniał o dziewczynie i skierował swój wzrok w stronę żony.

Tylko głowę jej widać było z pod kołdry, otulającej postać, chorobliwie skurczoną.

— Jaka szkoda, że to nie Fifina — pomyślał Henryk. Porwałbym ją w swoje objęcia i mógł dowolnie na nowo rozkoszować się. Prawie że nie mam jutro interesów, możnaby sobie całe rano wypocząć... Dawniej...

I tu przyszły mu na myśl te noce, w których żona była mu zrazu powolną kochanką, do której, póki nie straciła dlań powabów, zabitych odrazą i przymusem, czuł pociąg. Jego nerwy domagały się teraz Fiwki, jej uścisków i jej pocałunków, dla Leny — zobojętniał. Ona nie potrafiłaby zadowolić go, gdy tymczasem tamta... Usypiał ze skupieniem całej uwagi na kochance, litośny, ironiczny dla żony, pogardliwy dla braku temperamentu, ognistości, jakiej zawsze szukał u kobiety. A Lena snuła dalej wątek przeszłości, tego „stało się“. Szperała w szczegółach, w szczegółikach z owego czasu, kiedy poznała Łonicza z dwoma tysiącami renty z własnego majątku i sławą in spe — młodego, fantastycznego trochę pana Juliusza — biedaka w porównaniu ze Skłowskim, rozporządzającym kilkonastoma tysiącami rocznie, z tym Henrykiem, którego wzięła dobrym tonem panny correcte, ułożeniem, swobodą światowców, urodą, no i stoma tysiącami posagu, najważniejszą niezawodnie atrakcją obok świeżości wdzięków dziewiętnastej wiosny. Że jej wujostwo-opiekunowie także za Henrykiem przemawiali, winić ich było niepodobieństwem. Henryk był partyą

co się zowie... Gdyby była odrzuciła go, gdyby poszła za Juliusza—przepychu by nie miała, otoczenie zapewne inne, ale...

Ten człowiek taki gorzki, ironiczny dziś, byłby jej własnością, własnością z prawa natury, małżeństwo przyniosłoby jej nie obojętność i odrazę, ale niejedną chwilę szczęścia, szczęścia istotnego o najwyższej rozkoszy.

I byłabym dla niego tem, czem mnie widział, za co kochał, do czego tęsknił, co szanował, przed czem chylił głowę, co pieścił w swoich marzeniach, a z czego spowiadał się tylekroć, nim...

I całe życie inaczej by się złożyło... Zaintonowały jej pieśń one tony, one melodye, z których wionęła dusza poety, dusza artysty smutna, posępna jak czarne o błyskawicowych spojrzaniach oczy.

Ukazały się kusząco godziny z nim i lekko sunęły jedna za drugą — majaki...

Lenę ogarnia smutek, wstrząsa nią, szepcze wyśnienienia, budzi serce, budzi duszę i potęguje rozpacz, wytrysła z poznania nagłego tej nędzy, ku której sama wyciągnęła ręce, z poczucia piekielnego pęt, jakich sama żądała— sama, sama...

III.

Oto jak mrok szarego przedwieczera matem na okna schodzi i stalowo ubiera w swe zwoje, oto jak cisza z powały sinych chmur stacza się, jak smutek z nimi opada, tak czasem lekko, tak czasem przygnębiająco owładnie sercem cierpienie.

Mrok i cisza.

Co znaczy jedna chwila, gdy w niej przejrzysz?

Co znaczy moment żalu?

Czem ta sekunda, w której nagle poznasz, żeś przeszedł mimo skarbu, żeś mógł wiele, że utraciłeś, hańbiąc się, wiele, bardzo wiele?

Jaką jest myśl, zwalająca złudzenie?

A potem ten szept wewnętrzny, pociąg to uczynił?

I to straszne przekonanie w tych słowach „stało się“.

I ta prawda własnej winy...

I to przeświadczenie pobudek jej, tkwiących w człowieku i w tem co go otacza i w tem co go otaczało.



Czyż my i my tylko sami winni jesteśmy swej ślepcocie na niejedno?

Nie, nie — przyczyny są różne — taka ogólna deprawacya, spaczenie, wiodące w skutkach swoich nieraz fałszywy krok.

Podobne refleksye, rozmyślania, sfinxy dla Leny ustawicznie towarzyszą jej. W postaci głębokiego żalu cisną serce głuchą nienawiścią. W konturach buntu i zrezygnowanej rozpaczy tumanią mózg.

Siedzi w buduarze bezsilna, zmęczona nocą bezsenną, rozdrażniona.

Szpera w przeszłości i bada przyszłość, ale czyni to bezładnie.

— Jakże musiałam mu się wydać marną i śmiesznią, broniąc kłamstwa! Jakże on pogardzać mną musi za ten mój *pałac*, za owe *kwiaty zrywane wygodnie*, za prawa, których podstawą obyczaj, to co przyjęte, więc fałsz i obłuda, częstokroć z zupełną w nie wiarą. Alboż istotnie mogłam przypuszczać, że życie, jakim stworzyła sobie, jakim chciała, nie wystarczy, że uczucie paroma podmuchami rozbudzi na nowo serce, że parę widzeń z tamtym, widzeń wywołanych przyjaźnią męża, cie-

kawością — zwali cały dotychczasowy mój gmach.

Chodzi z pokoju do pokoju, zabrania krzątającej się służbie przyjmować kògokolwiek i czuje pustkę, czuje ją jak nigdy. Przeszedłszy do salonu, uzmysławia sobie postać Łonicza, kieruje oczy na te miejsca, w których on siedział, na fortepian... Wyobraźnia wywołuje jego grę, całą rozmowę fragmentami, łowi słuch w ciszy.

Ogarnia ją zmęczenie. Forsowne rozmyślanie tępią nerwy, znieczulają wolę.

Spoczęła w fotelu. Przez długą chwilę zatracła prawie przytomność...

I naraz — jak to się stało, jak to przyszło, skąd przyszło i poco? I naraz chce wiedzieć, czemu utraciła wstyd rozmyślania o nim, dlaczego żal ujął ją w swoje szpony, dlaczego pragnie sama nie wie czego, a to co dawniej tak prostem, tak zwykłym, tak prawnem jej się wydało — połamanem widzi dzisiaj.

Nie wie Tylko porywa ją coś do Łonicza, porywa coraz bardziej z każdą minutą, sekundą, a stosunek z mężem, małżeństwo potwornością szkicuje wyraziściej.

— Ileż razy on był po powrocie z zagranicy — pyta siebie, ile razy był u nich? Pięć... sześć.— O czem mówili — ach o czem, o wszystkim ale właściwie to o sobie. On był zawsze ironicznym. Nigdy takim dawniej, w czasach starania się o nią, kiedy to właściwie poznała i Henryka, którego Łonicz — o ironio, wprowadził do nich.

Pograżona w rozpamiętywaniach, nie słyszała powrotu męża. Tego powrotu, zresztą, nie spodziewała się. O tym czasie szarego zmierzchu nigdy Skłowski nie wracał, a jeśli, to wyjątkowo.

W istocie. Rozróżniła po chwili dwa głosy jeszcze w gabinecie męża.

— Acha—interesanci—domyśliła się odrazu i nie omyliła. Skłowski rzeczywiście dla interesów wrócił. Prowadził teraz ożywioną rozmowę z nimi, układał się, śmiał głośno.

Lenę to tak mało obeszło, że prędko wróciła do swoich myśli i w nich zagłębiła się ponownie. Wejście męża do salonu przyjęła chłodnem zdziwieniem, grymasem, którego Skłowski nie dostrzegł.

— Zrobiłem właśnie doskonały interes — powiedział z dumą. To mi pozwala dać ci paręset rubli na wydatki — extra-voyons!

Wyjął pakiecik i położył przed nią na stole. Ani drgnęła.

— Co zaś do naszyjnika, który chciałaś nabyć — to nie mają go już.

— Szkoda — odparła krótko.

— Muszę ci powiedzieć, aby cię nie dziwiła moja hojność, że dostawa, jakiej się podjąłem, powinna dać dużo korzyści, a ponieważ w dużej mierze twój posag odegrał tutaj rolę...

— To mi jest takie obojętne.

— Ach prawda, zapomniałem, przepraszam cię. Pieniądze ci daję, brylanty chciałem kupić, abyś nie wyrzekała na obojętność.

— Alboż ja kiedy wyrzekam?

— I jak, tak sędzę. Bilety już mam.

— Jakie, szepnęła, czując ciepło rumieńców na swej twarzy.

— No, na naszą sławę — pierwsze rzędy. Dyabło drogie, mais que faire. Zostawiam ci, rzekł, podając jej zwitek. Mógłbym zgubić. Ale, ale mają podobno zbierać składki nadzwyczajne na biednych. Zawsze jakieś sentymenty! Otóż jeśliby przyszli, możesz im dać rubla. Teraz słyszałem o jakimś kwiatowym jarmarku. Jeśliby twój występ na nim mógł trochę nadać nazwisku rozgłos, to, proszę cię,

zostań gospodynią. Jeden z tych panów, którzy byli u mnie — wspominał o tem.

— Dobrze — odpowiedziała.

— Jarmark ma się odbyć niezadługo. Ale, ale, czwartki nasze głośnie w mieście, to mnie cieszy — nawet bardzo — to robi dla interesów dobrze. Wprawdzie nie widzę, jak się bawią, bo jestem krótko zazwyczaj — ciągle zajęty, a i nuda zresztą nie pozwala mi na udzielanie się...

— Wszystko jedno, jesteś czy cię niema.

Doskonale... wybornie — mówił z zadowoleniem. Ty Leno niezaprzeczenie masz parę zalet.

Uśmiechnęła się z ironią — Seryo?

— Pierwsza: zamiłowanie do komfortu i szyku, co ludzi robi i ma znaczenie dla obrotów gotówki, druga: brak dzieci, a z nimi wydatków, trzecia:

— Możebyś zostawił w spokoju śmieszne wyliczenia.

Śmieszne nie śmieszne ale słuszne — ha-ha, tak.

Pocałował ją w głowę z galanterią łaskawego gentelmena.

— Ach, nie lubię tego, wiesz, oburzyła się, cofając z niesmakiem.

— Dziwna z ciebie kobieta i... i wogóle haha... to nasze pożycie.

— Ach *laisse moi* — rzekła z pogardą, którą Skłowski odczuł.

— Mniejsza, mniejsza, powiedział ironicznie — nie mam żadnych zamiarów...

— Proszę cię Henryku, zawołała z oburzeniem.

No, no, nie gniewajmy się — skoro pretensyi nie mamy. *Au revoir*. Zagadałem się, a tu już czekają na mnie — rzucił niezwykle ożywiony i przeszedł do gabinetu, pogwizdując zcicha. Zamknął drzwi od sali i wyjął safianowe eleganckie pudełko. Otworzył je z zadowoleniem.

— Fiwka się ucieszy, jak zobaczy naszyjnik, a jak będzie rozkoszną! Bo też piękny. Lena ma gust, wiedziała, co wybrać! Fiwka, złote moje rozkosze — szeptał, chowając pudełko. Tak, mówił, jakby w odpowiedzi na wyrzut czyjś — ona warta, warta tych kamieni, przyjem pieniądze Lenie więcej się przydadzą — no cóż, cóż?

I z temi słowy wyszedł, by jechać do kochanki.

IV.

Owe noce, owe gorączkowe, chorobliwe noce, w których się wił z bólu jak szaleniec, w których przekleństwo, rozpaczą wydzierane z krtani, wpadało w piekielny cynizm...

Owe godziny rozmyślań, goryczą przepojone, targające duszą aż do omdlenia, i śmiech, śmiech z niemocy i nienawiść. Pamiętał — waliły w skroniach, tańczyły w mózgu, wiły się i splotami miażdżyły, wiodąc nostalgię...

Wreszcie wparł się ciskaniem bólu w ironię, melancholię i to, to mu zostało — a tamto, tamto uczyniło wielką sławą... Szalał, śpiewając w tonach własne cierpienie, konał, porywany melancholią i... kochał ją, tę, siedzącą teraz obok tego błazna, filistra, obok tego, który ją kupił, któremu się sprzedała, — ta, która mogła być inną, jego, inną... Patrzy na nich. Gryzący uśmiech wykrzywia mu usta. Przez myśl smagają chwile wzajemnego się ich oddania, wzajemnych pieścizot i potęgują w nim latami stłumioną zazdrość, nienawiść, miłość.

Siedzą we troje.

Chwila milczenia.

— Tak... to tak... Wy wielcy kopiecie wszelkie obyczaje, wszelkie z nich idące prawa, rzekł Henryk, przerywając milczenie, wszystko utarte w społeczeństwie.

— Szablon, szablonik, szabloniczek—syknął zjadliwie Łonicz. Tak, potępiam karykaturę lichą prawdziwego kabotynizmu; płaskość rodzinną przegniłą, której się dawno należy adieu i ten gest ręką — wyraz wzgardy!

— A przecież mimo wszystko jest kultura, są tacy jak pan, powiedziała Lena, zatrzymując na wykrzywionej spazmem pokurczonej twarzy Juliusza długie, tęskne spojrzenie. Przecież, mówiła wolno, idziemy naprzód a w środowisku — takim jak pan myślisz, czyżby można zresztą?..

— A la guerre comme à la guerre, zawołał Henryk, rad ze swego frazesu.

— Oto rezygnacya i przystosowanie się twoje do tego co jest, ale jeśli tak chcesz, to wiedz, że na wojnie jest i przemoc, jest gwałt, ale i dużo bezpośredniego ot stąd, ot z duszy, ot z serca... Rozumujecie, że bez praw istnieć niepodobna, lecz strupieszalności tychże praw, któremi się rządzicie, pojąć w stanie nie jesteście, owszem sami tworzycie bagno z bagie-



nek vel wciąż otaczanych rodzinnych siedlisk—  
lub tem podobnych innych...

— Mówi przez ciebie zjadliwość, Juliuszu,  
uprzedzenie, moralizujesz — było gorzej, wierzaj.

-- Nie jest lepiej. -- Błazeństwo i jego  
antytezy są, były, będą tylko... jeżeli można,  
jeżeli można uniknąć...

Tu skierował oczy na zamyśloną panią  
Lenę i przerwał.

— Nie jest to błazeństwem mój kochany  
z czem człowiekowi dobrze, dla czego ma być  
błazeństwem?

Łonicz wykrzywił twarz wzgardliwie. Nie  
odpowiedział, czując coraz większe podnie-  
cenie.

Pani mówisz, że jest kultura — thaak—po-  
wiedział z ironią, o jest ale, ale barbaryzm,  
to kleszcze tej kultury, ale ciemnota, ale nędza  
moralna, wykrętna, przewrotna, niktzemna—uno-  
sił się.

Pani mówisz, że jest kultura — pewno.  
Kryje ona w swoich fałdach zbrodnię, deprawację  
i choćby, choćby jeszcze o cechach piękna, o ce-  
chach... A—de quois et pourquoi? — zaśmiał  
się.

— Jesteś idealistą niepoprawnym, przyjacielu.

— Niezmienionym, dodała Skłowska.

— O nie, omyłka — jestem... ja... wogóle dziś... Przerwał, wzruszając lekko ramionami.

— Nie obmawiajmy się — zawołał Henryk. Przedewszystkiem jesteś twórcą un homme degénie — i moim serdecznym, naszym druhem, którego każde odwiedziny są dla nas świętem, prawdziwym świętem.

Dziękuję ci, dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie.

Rozczulony dumny Skłowski nie zauważył goryczy w twarzy muzyka, dostrzegając ją natomiast Lena.

Wsparała głowę na rękę i utwikła oczy w blasku lamp, zatoneła w nim, a myśli jej — och te, te staczały się zwolna, nieco bojaźliwie na dno przepaści pięknej, jasnej, promiennej, pełnej tonów o tym najwyższym, wszechwładnym, jaki opanował jej duszę.

Tam... on, on był — on... on.

Jej oczy mówiły tyle, cały wyraz twarzy tchnął czemś nienaturalnem a krystalizującym się w poszerzonej źrenicy w plamki palące, ognikowe.

— Jaśnie panie — przerwał wynurzenia serdeczne dwóch przyjaciół lokaj, a kiedy Skłowski odwrócił się, podał mu na tacy dużą kopertę, adresowaną nierównym pismem. — Przyniósł posłaniec, dodał służący, cofając się dyskretnie.

Skłowski, przeprosiwszy żonę i Łonicza, rozerwał kopertę i począł czytać. Jednocześnie dzwonek telefoniczny przywoływał go do aparatu, umieszczonego w gabinecie.

— Ot co to jest być w kłębku różnych interesów finansowej natury — wybaczcie. Z temi słowy oddalił się szybko do gabinetu.

— Jak widzę, Henryk wiecznie zajęty; nawet pora towarzyskości i ta musi schodzić na plan drugi wobec — ale przepraszam panią to „takie nie pani“.

— Jak pan pamięta.

— Jak — szepnął Łonicz, jak... pamiętam?

Dopowiedział resztę grą twarzy, odruchową mimiką, a potem milczeniem.

— Pardon — zapomniałem o poszanowaniu, należnym prawom obyczaju.

— Jakiś pan cierpki.

— Wistocie — ale to też dlatego nie będę mówił, lecz:

— Zagrasz pan — o, zagraj.

— Tak... zagram... za... gram... rozluźniał słowa, jakby namyślając się co, które arcydzieło.

— Z gabinetu wybiegł prawie Skłowski.

— A to fatalizm, zawołał od progu. Muszę pożegnać was. Otrzymałem wiadomość... i doprawdy Juliuszu nie wiem -- ale...

— Proszę cię — rzekł Łonicz --- nie krępuj się.

— Że też ani jednej chwili nie możesz poświęcić nawet takim wybranym jak pan Juliusz — powiedziała z niechęcią pani Lena.

— Ależ Leno — rzekł błagalnie Skłowski.

— Henryku, za dorze się znamy, cóż za ceremonie, wiesz, że je toleruję tylko. Musisz jechać, jedziesz i koniec. Zresztą ja sam... dość już późno...

— Darujesz mi — dużo bym mógł stracić, bardzo nawet dużo. Ale wrócę, spodziewam się zastać cię jeszcze, nie żegnam więc zupełnie. Leno nie puszczaj go — słyszałaś, co mówił?

— O cóż znowu, obiecałem pan grać, zostajesz a ty nie marudź...

— Nie wiem jednak jak to wszystko długo potrwa, rzekł zakłopotany Skłowski, myśląc

jednocześnie, że będzie mógł wpaść choć na momencik do Fiwki. W każdym razie nie będziesz się gniewał — no wiem, wiem — postaram się wrócić jaknajrychlej.

Pożegnał się z wyszukaną serdecznością, z wylaniem, obawiając się zrazić głośnego przyjaciela.

Wyszedł.

— Tłomaczy się, jakby zbrodnię popełniał — mówił z uśmiechem Łonicz. Dobre sobie.

— Żal mu było opuszczać — towarzystwo, pożądane zawsze, zawsze.

— Ach, pani łaskawa — rzekł Łonicz. Skłonił się lekko i pocałował ją w rękę.

— Więc — wracam do mej prośby — zagraj pan — wymówiła nerwowo.

— Lubię grać właśnie w takiej jak ta chwili. Usłyszy pani parafrazę wiecznego tematu... wiecznego — powtórzył i usiadł przy fortepianie.

Rzucił raz, drugi, trzeci pasażem, wziął parę akordów — o czemś myślał, — wreszcie, zatrzymawszy spojrzenie na Skłowskiej, ubranej w ciemną koronkową suknię, od której odbijała blada twarzyczka, okolona lokami, smutna, przygnębiona, uderzył w klawisze mocno, głęboko, łącząc

swój wzrok rozpalony fosforycznie z podnieconemi jej oczyma.

Zwolna wtonęli w siebie i w ciche zrazu, coraz jednak to piekielniejsze tony...

A znasz ty one koła, one półkola czardaszowego uroku? Biegają, lecą, lecą — pędzą! To w lekkim tempie, to znów z rozmachem.

Tak się taniec zaczyna...

I jest w nim czar bladych, upalnych nocy, woń rozbudzonej, tęskniącej ziemi, sny brzóz i dębów, sny dywanowych łąk, dojrzałych łąków...

Purpurowa róża, drażniąca zapachem...

Bezwiedne pragnienie pocałunków słońca...

Melancholijny szal trylów wzburzonej piersi słowiczej...

I jest w nim owa tajemna, cicha pieśń roznamiętnionej w poblaskach księżyca, rozkochanej natury, pieśń rozkoszy, pieśń miraży, pieśń cudu twórczego...

Ciemnawa nagość bachantki, której na biodra łachman opada, pierś wzdęta furją taneczną, włos czarny w epileptycznych drgawkach rozbujany.

Gwiazdne oczy, krwawe wargi, granie tętn serca, mózgu, krwi, żądz granie, ruch kobiety,

szalejącej z miłości, ruch oddania, krzyk ha ha ha, ognikowe błyski, race, obłądny pęd, obłądny rzut, płas dziki... płas ekstatyczny jakby wir, skier powódź przepyszna, co wybuchaw ciemnie...

I pogwar senny omdłałych z pieśczoły pocałunków kochanki i ta bezwładność przepysznej harmonii, co tryska z dusz, porwanych w szal! porwanych bez dna oddania i ten płacz, one zawodziny łez żalu, zrywania się w namiętnię...

W takt tamburina, w dźwięku takt rytmiką niepochwytą pędzi tan -- pędzi tan...

Łonicz patrzy, duszą całą w tonach drga, pieści wzrok porwanej melodyą kobiety. Lena wchłania, Łonicz wchłania jak tryl każdy, akord każdy, rzewliwe dźwięki, rozpacz rwącą, skargę rwącą, ukochanie — tytanów głos...

I raptem szlochy, raptem łza, raptem spazmy, gwałtowne łkanie...

I raptem szepty...

Czy Łonicz bólu nie czuje, jaki przenika z szeptu, łkania?

Zakrył oczy rękoma, bez ruchu siedzi... naraz jęk taki straszny, krótki, głuchy wyrwał się z jego piersi i zmilkł.

Cisza...

— A tak... a tak szepcze, patrząc na Lenę—a tak... Znasz, wiesz, słyszałaś — czujesz?

Ona nie mówi nic, nie zdolna, to, co jest, co było, co będzie, myśli mąci, serce w kawały targa, a strzępy jedyną mocą brzmia, mocą ukochania.

— Znasz, wiesz, słyszałaś, czujesz? O Leno, o Leno—mówi cicho, dojmująco, a w tych słowach drży nuta tak potężnego wyrzutu, że Lena rzuca się jakby przed widmem, dłonią się momentalnie zasłania, odruchowo, bo dłoń opada jak głowa na oparcie.

Milczą.

— Skazałaś serca na poniewierkę, skazałaś dusze na męki serdeczne i splugawiłaś ołtarz uczuć naszych.

— Juliuszu, woła cicho zraniona jego słowy, Juliuszu, błaga.

— Ja nie mogę... uczyniłaś ze mnie... ech Leno... ze siebie lalkę, a ze mnie pajaca, sentymentem opętanego, nie, dusiciela krzyku praw, praw moich silniejszych odemnie, praw naszych do siebie. A to wszystko, com przeżył...

Te świty, te zmierzchy, poranki, dnie—te noce, krzyk w nich wieczny, ciągły, monotony krzyk!



Policzek niezrozumienia, policzek, który gorycz we mnie zrobił, a którego skutki zabiły w tobie kobietę moją, tę, idącą za głosem natury, kobietę człowieka, to „ja“ piękne shańbiłaś dla marnych igraszek, shańbiłaś komedią małżeństwa z kabotynem lichego gatunku, maszyną złota, której celem co, co?

— Popełniłaś zbrodnię, za którą poszły inne... Zatańcował wkoło ciebie twój tłum frakowo-tiułowy, wygodny, miłujący spokój, tak iż jak i ty zbrodniczy...

— Wargi jej nerwowo drgały, oczy stały się mgławce, twarz stężała w niemocy.

Jego słowa wiodły jakiś dziki, okropny tańiec, każde przybierało postać figurki bezli-tosnej...

Dobiegają i kłują szpilkami serce, kłują, kłują.

Czuje — dygocze, usta zaciśnięte, w głowie szum i te ukłucia.

Nagle Łonicz rzuciwszy oczyma na Lenę, wstał bez szelestu i uklęknął przed nią.

— Cierpisz? Twoja dusza, twoje serce... kochasz? nie zabito cię jeszcze, nie zmarnowano. Twoje uczucie, tam gdzieś w głąb wduszone, ca-

łe jest i wybiega, wyłania się, lśni Leno moja — nie wątpię, nie. Zgrzyt słów z przed chwili to zgrzyt poćwiertowanej miłości mej. — Ja cię kocham — kocham, ubóstwiam — szeptał wytężony skupieniem całej jaźni, wszystkich fibrów, wytężeniem wszystkich nerwów, oślepiającym momentem huraganu, który pękł miliardem tonów, półtonów, miliardem odcieni, gdy objął ramieniem nieprzytomną, zamienioną w jeden uścisk, pocałunek, pieśczętę, w bezpamięć, szął radości, szął druzgoczący, szął ducha i ciała, łamiący kolosowością swą pęta, okowy, kajdany, niebacznie rzucone, a trwające lata.

I oto obłoczkowe pieśczęty... i oto chmara motyli barwnych — kojarzeń ust, kojarzeń ocz i oto ziszczenie rozmodlonych w sobie...

A wkoło cienie, cienie wizyjne, cienie pokorne, cienie zachwycone, mary, których wyrazem była tęsknota, był ból — pragnienie.

Klęczą te cienie i patrzą z podziwem.

Klęczą i nucą hymn taki jasny, święty, błogi, taki cudowny hymn...

Lena upojona, upojona bez granic marzy...

Nagle Łonicz wstał i szybko, cicho wyszedł.

V.

Więc...

Więc to, co nieraz dawało znak o sobie, znak że jest, to, co ujawniło się odrazu, gdy on stanął oko w oko z nią, teraz wywołane wibruje, szydząc z jakichkolwiek protestów. A one są, miotają nią.

Dwie sprzeczności: jedna — wyrzuty, druga — pożądanie, odpowiedź twierdząca na jego...

Lena między tem i tamtem jest zdenerwowaną, podnieconą. Te uczucia mieszają się ze sobą bezustannie, wyprowadzając z równowagi, tworzą zamęt.

Po całych dniach rozmyśla o Łoniczu, czuje tę rozkosz, delikatnie rozprowadzoną w niej owego wieczora, który skończył się... Czem?

Dlaczego on wyszedł, tak raptownie opuścił ją i teraz, teraz się nie pokazuje? Przeszło dni parę, a on?.. Czyżby postanowił nie widzieć się więcej?

Przypuszczenia, łopocząc w niej skrzydłami obaw, dłużą godzinę każdą i męczą, gorączkują, czynią je niedozniesienia, a ją robią kaprysem, kaprysem dzikim, wrzącym w milczeniu.

Dość spojrzeć na te podeptane kwiaty od męża, walające się u jej stóp, dość wejść do jej buduaru, aby widzieć w nieładzie, jakiego pełno, niecierpliwość, przerzucanie się z jednego w drugie. I tak jak kwiaty, leżą tu i owdzie wstążki, biżuterya, książki, robótki, przy których z zaciekłością poplątane nici nic innego nie wyrażają jak tylko złość. Albo ten bukiet z czerwonych i białych róż, postawiony na stoliku koło miejsca gorącego wyznania ich?

Lena w szczegóły nie wchodzi, nie zastanawia się nad dowodami zmian, szybko następujących w niej.

Zamyślona, roztargniona, nie wychodzi prawie z domu, z nikim się nie widuje, a chwila, w której on mógłby przyjść, wznieca takie udręczenie, że wyrzuty, że protesty gwałtownie milkną, by zerwać się znów, skoro oczekiwanie będzie próżnem. Zawód przywoła tęsknotę, niepomierny pociąg ku niemu, wściekłość z poddania się uczuciu, nienawiść, wreszcie znużenie, którego podłożem to czardaszowe dźwięki, to słowa Łonicza, tchnące miłością, on cały...

Przyjdą przeczenia, pragnące położyć tamę rozmarzeniom, i przed Leną zamajaczy treść,

której wyrazem zdrada. Tak. Sprzeniewierzyła się mężowi, sprzeniewierza w dalszym ciągu, myśląc o tamtym, a jeśli ta zdrada nie jest zupełną... jeśli miłość uprawnia ją — a jednak — Jest, jest zawsze, skoro ta kreatura, ta machina wyrabiacza złota sylwetą swoją przerywa rozkoszne dumania, zastępuje Juliusza i poczyna gnębić, chcąc swym widokiem, przypominającym zaprzysiężenie wierności, rugować to wszystko, czem powinno być jej życie. Wahania jedne...

I oto siateczka. Mocne nitki oplątały Lenę, a toń oczek nie wskazuje wyjścia.

Bo i jakiemże mogłoby ono być, jakim, jakim?

Maleńkie *tak* i maleńkie *nie*, setki pierwszych, setki drugich śmigają, śmigają, czyniąc obręcz dokoła niej, wpijając się w serce, w mózg...

I teraz, jak dni poprzednich po rozstaniu się z nim, siaduje Lena w swoim buduarze, rada z ciągłej nieobecności męża, nie obojętna, ale rada. Każda chwila z Henrykiem jest dla niej przykrą i lepiej, że są one ograniczone do minimum. Może swobodnie nękać się i roz-

koszować swemi myślami, uczuciami, o których mąż nie wie, a które...

Powraca do pytania — dlaczego on nie był, może chory, może...

Wynaleźć przyczynę trudno.

Przerzuca się z lewej strony fotelu na prawą, mnie nerwowo chustkę.

Może z niej zażartował — nie, nie, to niemożliwe — ta gorycz, wyznanie takie gwałtowne, szczere...

Śmieszna jest, przypuszczając coś podobnego — wkrótce koncert, trudno mu poświęcić czas...

Chce sobie wytłomaczyć w jakikolwiek sposób postępowanie Łonicza, lecz czuje tylko przykre, męczące niezadowolenie.

Jak to długo potrwa, co będzie, jak on wróci, co będzie, jeśli nie wróci, nie pokaże się więcej?

Ostatnie pytanie odrzuca ze wstrętem. On musi wrócić i wtedy...

Dzwonek.

Lena zrywa się w najwyższym podnieceniu, poprawia sobie toaletę, czeka...

Po chwili wchodzi Skłowski.

Uśmiech, skupiający całe pragnienie widzenia Łonicza, uśmiech nadziei w mgnieniu oka zniknął z twarzyczki. Oczy przybrały wyraz zniecierpliwienia, zawodu, nienawiści.

Henryk tego nie zauważył.

— Myślałem, że cię niema, albo, że jest ktoś z naszych znajomych, wszak to godzina przyjęć — tymczasem...

— Żle myślałeś.

— Właśnie. Wyjątkowo mam dzisiaj robotę w domu, niektóre rachunki... ale... przeszkadzać nie będę ci — rzekł nieco z ironią, obserwując Lenę.

— Głowa mnie boli, czuję się niezdrową.

— Uważam; przy obiedzie uderzyła mnie zmiana, mam nadzieję jednak, że do czwartku to przejdzie, że przyjęcie zwykłe odbędzie się.

— Wątpię. Jeżeli migrena potrwa, odwołam.

— Niepodobna. Mam w tem interes, interes bardzo ważny, muszą być goście, wystąpić trzeba en gros...

— Pomimo możliwości...

— Et, więc chociażby cię trochę głowa bolała, to i cóż?

— A to to, zawołała porywczo, że gości nie będzie!

— Przeciwnie, Leno. Ja mogę na tem stracić, tego nie chcę!

— Wszystko mi jedno!

— Ale mnie nie. Sposobność się raz może zdarzyć, a ty ty!

— Proszę mi dać pokój — do czwartku daleko.

— No naturalnie, dziś wtorek. Może, może ci pieniędzy potrzeba?

— Nic mi nie potrzeba, a rozmowa szkodzi ze względu na czwartek...

— Co za ironia — rzekł Henryk. A wiesz, skąd może pochodzić naprzykład taki ból głowy, ha ha wiesz i... i to zdaje się byłoby najlepszym lekarstwem, mówił, podchodząc ku niej z cynicznym uśmiechem.

— Prosiłam cię, rzuciła porywczo Lena — i tak ostrym tonem, że Skłowski stanął zdziwiony.

— Parole, zabawna z ciebie kobieta, ja, ja chciałem dla ciebie tylko... przepraszam, powiedział z ironią i wyszedł do gabinetu.

— Zwierzę, syknęła Lena, opadając z powrotem na fotel. Brutal, więc ja nic, nic go



nie obchodzę... brr... cóż to za człowiek — co za pożycie...

— Zwyczajny, przeciętny wyrabiacz złota — coś podszeptało.

Wściekłość ogarnęła Lenę.

Szydercze naigrawanie wyczuwała w mroku, szydercze ha ha słyszała wraz ze słowami — chciałaś złota, brylantów, cacek — a tamten... Juliusz...

Myśli zaczynają znów krążyć koło Łonicza.

Byłby innym, innym — mówią przecucia — byłby innym...

Coraz jaśniej widzi strzaskany gmach dotychczasowego życia swego.

Nagle błyska w myśli rozwód; pójdzie za tamtego. Tak, jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze może być szczęśliwą. Nie będzie jej brak niczego, a przynajmniej każdą chwilę zapełni pragnieniami serca. Jakiż powód do rozwodu? Jaki?

Powstaje raptem przekonanie, że Henryk musi ją zdradzać. Powoli to przekonanie utrwala się. Samo ich pożycie małżeńskie, natura Henryka, natura zwierzęca, czyż to nie dość? I kiedy się nad tem zastanawia, długie chwile

trawi, wyobrażając sobie męża w objęciach pierwszej lepszej kokoty, czuje, że, oprócz wstrętu do tego człowieka, nie ma nic, żadnych innych uczuć. Wstręt i obojętność, zupełna obojętność. Przypuszczenia zdrady nie wykluczają jednak pewnych złudzeń, że może tak nie jest. Te złudzenia jednak mącą mgnięniowo posądzenie o niewierność. Oni wszyscy, wszyscy prawie tak postępują, chyba, że kochają tak ogromnie, tak bardzo jak Juliusz. I on zapewne nie jedną musiał mieć kobietę, ale był wolny, nie miał nadziei, że odzyska tę, która dla niego była wszystkim.

Myśli biegną jedna za drugą, zapadają w ciszę, rodząc się w mózgu, poruszając duszę, serce, podniecając.

Do pokoju bardzo cicho wsuwa się służący i sztywno podaje list na srebrnej tacy.

Nim jeszcze odszedł, Lena rozdarła kopertę. Pismo nieznanne, dość czytelne uderzyło ją. Zrazu sądziła, że to Juliusz pisze. Ale nie, podpis szybko skreślony wyraźnym nie był.

...A... a... więc to... prawda? Więc to, co przed chwilą myślała, to prawda? Henryk ma kochanicę jakąś Fifinę.

Nie stara się odcyfrować podpisu. Czuje teraz jakąś niewytłomaczoną duszność, ścisk gardła, coś jakby gwałtowne uderzenie w piersi.

Przez moment bez woli, urywanie zestawia prawdę z przypuszczeniem swoim, ze stosunkiem jej do Juliusza, i jeśli fakt zdrady, w który wierzy teraz niezachwianie, przestaje robić na nią jakiegokolwiek wrażenie, to długa nieobecność Juliusza przyprawia o szaloną rozpacz. Spadają na nią pieśczoty, pocałunki, uściski i wtulają w siebie. Oczy kochanka widzi utkwione w źrenice własne, czuje tę moc nadprzyrodzoną, bijącą z obcowania z tamtym.

A kiedy paroksyzm namiętności milknie, rozpoczynają się refleksje. Henryk—czy on posiadał coś więcej nad obejście, obrażające w niej najdelikatniejsze uczucia? Ale nie był że w prawie postępować z nią jak z prostytutką, zwyczajną kokotą, skoro mu się przecież sprzedała.

Tak—Juliusz ma słuszność. Jej postępek, jej małżeństwo, to prostytutcyca, przybrana w gazy, tiule, usankcyonowana w kościele fałszywą przysięgą, to zbrodnia...

Lena na myśl o tem pręży się, zacina wargi, ciśnie poręcze krzesła spazmatycznym ruchem.

— Co robić, co teraz mam robić?

Gwałtowne pytanie zamiera w mroku.

Porwała się z krzesła i chodzi jak zwierz, zamknięty w klatce, pożądamy wyjścia, wydobycia się z menażeryi.

Przerwie wszystko raz, skończy! Bez wyrzutu, bez skandalów, bez awantur, do których nawet jako prawowita żona, zerwawszy zresztą stosunki z mężem, nie miałyby prawa — rozejdzie się, pójdzie za tamtym, za tym, który kocha. Tylko — jeśli on nie zechce, jeśli nie wróci, jeśli...

Napisze do niego — tak, tak — napisze!

Cisnie guziczek od lampki elektrycznej, siada i pisze gorączkowo, drze, pisze, drze.

Przez moment skrzyp pióra szybki, szybki.

Czyta napisane, drze...

Nie, nie może pisać, zresztą czyż wogóle powinna?

Histeryczny płacz...

Pada na kuszetkę i tłumi łzy, kryjąc twarz w poduszkach.

Ostre, wstrząsające łkanie...

W parku prawie pusto. Szron i mgła. Czasem ktoś przejdzie aleją, lecz rzadko. W mgielne opończe zatulone drzewa śnią, milczą i śnią.

Tak, te drzewa śnią. Czy tak jak ona, czy tak smutno i tęskno? A może ów biały, gęsty opar wziął je w objęcia, aby ból utulić, aby ukoić, wysłuchać, jeśli cierpią, a może, może ów biały opar?...

Ach więc, więc, szepcze Lena—więc...

Poco ona przyszła do tego parku, poco tu siedzi?

Poco? Czuje się swobodniejszą, nie widzi domu, nie widzi tego wszystkiego, co jest mężem, co jej przypomina kajdany małżeństwa, czuje wolność i ten omglony dzień i cisza popołudniowa łagodzi nerwy, łagodzi, uspokaja...

Oni się z sobą już nie zobaczą. Wyznał i poszedł. Uczynił to, co ona kiedyś. Zbudził ją ze snu, z odrętwienia, z haniebnego życia, jakie sobie zgotowała sama, sama) i — poszedł... Juliusz... Jul...

Po... szedł. Nie wróci, nie przyjdzie nigdy, nigdy!

Dlatego nie starał się ujrzeć jej więcej. Nie chciał, skazując na to, co przechodził, co przechodzi. Przyszłość — przyszłość jej — jego?

W mętnię wpija wzrok — wzrok nienawiści i umiłowania — posępny, przebłyskujący czasem pełnem uczuciem.

W zimowym kostymie obcisłym, nieco blada, z chęcią wyrugowania beznadziei, wionącej z całej postaci jej — jest ładna z zadumą i zdenerwowaniem, które odbija się w każdym poruszeniu.

Siedzi obojętna na zimno, wilgoć, dojmujący chłód.

Jakby tamten cię kochał, tulił, pieścił. Każde two pragnienie dla niego... mówi ze mgieł ktoś — czy też...

Lena zrywa się, ucieka nieomal, byleby, byleby nie słyszeć, byleby...

Słowa nie pozwalają uciec.

Będzie tak zawsze, zawsze...

Obłudne pytanie, obłudny uśmiech...

Raptem szept inny, szept wyraźny.

— Pani Leno, Leno...

Ogląda się, podaje w tył kibić.

Płomień, szalona radość, szalony niepokój, jednoczesny prawie brak sił.

— Pani Leno — mówi Łonicz, czy przedemną ta ucieczka? Zobaczyłem zdaleka...

Lena milczy, w krtani więzną słowa, wreszcie: to pan... pan — szepcze.

I Łonicz rozumie, że ona nie miała nadziei ujrzeć go więcej, że pragnęła, pragnęła tego silnie, gwałtownie.

— Czy wiesz, co jest cierpieć — przerywa milczenie.

— Więc... dlatego... nie byłeś dotąd, aby...

— Abyś później nie żałowała...

— Czego, czego? Ja mam ja... czego?

— A bagienko, w jakim pędzisz życie, a...

— Nie, nie, niczego, nic z tego nie chcę!

Henryk ma kochankę! wybucha.

Łonicz nie zdziwił się zupełnie, posłyszawszy z namiętną nienawiścią wypowiedziane słowa.

— Ma kochankę. Wiem wszystko. Odebrałam list z podpisem nieczytelnym, sprawdzałam — ma kochankę. Jest mi teraz zupełnie obojętnem, mówi po chwili i, przytulając się do

artysty, szepcze dalej. Jesteś mi wszystkim, wszystkim ty, Jul — Jul mój...

Wziął ją pod ramię i przytulił do siebie.

Oboje byli wzruszeni. Od czasu do czasu zatrzymywali wzrok na sobie, wzrok oddania, obietnic, prawa własności.

— Tyle czasu byłś jego...

— Ach nie mów, nie wspominaj go nigdy, nigdy już!

Łonicz przygląda się jej z rozrzewnieniem.

Parę ostatnich dni, kiedy, odsunawszy się od niej, czekał, co ona postanowi, czy rzuci swój świat i pójdzie za nim; parę ostatnich tych dni, szamocząc się ze sobą, w niepewności, czy kocha go ona, czy nie jest tylko pod przelotnem wrażeniem — ileż marzył o szczęściu, które dać by mu mogła, ileż przemyślał nad tem, jak podniesie ją z cuchnącego burżuazyjnego bagienka w światy o rzeźwiejszem, pełniejszym życiu, w światy mniejszych obłęd, kłamstw...

Z tem pozostawał całe ostatnie dni.

Wyczuwał, że ona cierpieć musi, gubiąc się w myślach, dlaczego się od niej usunął. I to było prawdą.



Ten cierpi, kto tęskni; ten tęskni, kto kocha, a więc...

Spojrzał na jej zmatowaną twarzyczkę, przymglone oczy.

Lenę ogarnęła radość i tamuje słowa; tylko czasem wargi drżą nerwowo, oczy spoczywają na Łoniczu, oczy gorące, rozkochane, oczy namiętne.

Okrążyli park, dochodzą do wyjścia.

Jednocześnie pytająco patrzą na siebie. Bezcelowo wychodzą.

Przed nimi długa aleja pusta.

Dokąd pójda... i potem?..

— Leno, na wszystko zdecydowana? — przerywa Łonicz cicho.

Twierdzi spojrzeniem, uśmiechem i mówi cicho — tak, o tak.

— Mam wierzyć więc, mam wierzyć?

— Jak ci serce dyktuje, odpowiada półgłosem.

Milczą chwilę. Ona przeczuwa, że teraz stanie się, co on zechce, że jej słowa, to, co w tem mgnieniu szamocze nią, zmusza być posłuszną, \*każe wypełniać jego wolę, i idzie za nim bierna, zupełnie bierna.

Łonicz zgaduje jej myśli po oczach, niecierpliwie migoczących. Nic nie mówi, ściskając jej drobną rączkę, dopiero, zatrzymując się przed jednym z domów, szepcze prosząco:

— Chodź. Chcę pomówić, będziemy u mnie swobodniejsi.

Bez najmniejszego wahania pozwala Lena prowadzić się do saloniku.

— Jesteśmy sami, zupełnie sami — mówi, gdy się znaleźli w pokoju. Nawet służącego niema; przychodzi dopiero wieczorem.

Urwał tok słów.

— Jesteśmy sami — szepcze, patrząc na milczącą, rozplómiioną Lenę, nerwowo skubiącą frędzlę u fotelu.

— Ta cisza i ten sprzęt — wskazuje na pyszny fortepian — a właściwie fala tonów mogłaby dużo ci Leno powiedzieć — bardzo dużo — a wiesz o czym? — o... cierpieniu...

— Chodziło za mną jak przekleństwo, jak prześladowanie...

— Nie mów o tem, rzekła błagalnie, nie wspominaj.

— Chcesz pozostać moją, moją na zawsze, chcesz dzielić ze mną życie?

— I kochać, kochać — zapełnić całą przyszłość uczuciem.

Mówi tak szczerze, tak serdecznie, że Łonicz klęka przed nią, bierze za ręce i całuje.

Zatrzymał wzrok w jej wzroku, przysuwa się do niej.

Kiedyś tak... ona tak samo — te oczy też prawie mówiły, tylko teraz silniej, więcej, goręcej...

Lena czuje zachwyty, jaki nim owładnął, patrzy rozkosznie.

I ta rozkosz udziela się raptem Łoniczowi, opanowuje jego duszę, jego całym wnętrzem.

Przysuwa się do Leny, zahypnotyzowany jej oczyma.

— Byłaż byś szczęśliwa ze mną, pyta, ujmując drżącą w pół.

— Pytasz?

Przeciągły, gorący pocałunek.

— Byłaż byś — mówi Łonicz, pochłonięty rozkoszą.

— Rozwiedziesz mnie — będę twoją, wyjedziemy...

— Tak... tak — szepcze on — tak... rozwiodę, wyjedziemy.

— Ja nienawidzę Henryka.

— Tak... tak, powtarza Łonicz, sam nie wie, co mówi, sam nie wie, czego ona żąda — rozwód, wyjazd — to tylko dźwięki dla niego.

Całe *ja*, objęte czarem kochanki, całe jego *ja*, to pocałunek, to uścisk, to jej pieśczoła, urywane słowa, palący oddech jej ust.

Cisza ich denerwuje, wytrąca z rzeczywistości, podnieca, podnieca...

Cisza ich otula, wywołuje nowe uściski, nowe pieśczoły, szepty.

Szał dusi słowa—nie mówią, szął ich zamienia w jeden ton, ton gwałtowny, żywiołowy.

Trwa... trwa on niepodzielnie' — trwa.

Jeszcze pocałunek jeden i Łonicz zrywa się, staje przed omdloną, dyszącą, zgorączkowaną, staje na mgnienie oszołomiony zachwytem.

— Leno!...

--- Kocham cię.

Zamknęła oczy, wyciąga ku niemu dłonie.

— Jeszcze... pocałuj... Kocham... tul mnie!

Łonicz, porwany miłosnym szeptem, promienny, odurza pocałunkami siebie, ją.

Sekunda— a ta kobieta spragniona będzie jego, będzie całkowicie jego.

Sekunda— padną w piekielny tan, błyskawiczny tan...

Sekunda — w bezdeń poszybują razem.

Wczarowują się w siebie pieścotami długo, długo, a potem...

Pocwałowały dłonie jego w szalonym tempie.

Sam nie wie, co gra.

Myśli, uczucia kierują dłońmi, myśli, uczucia zmieniają tony w potęgę, rozpryskującą się w race, skry...

Oddźwięki pożądania, ekstazy błędzą długo.

Cisza.

Miażdżą ją szalone tony, szal melodyi, rozkosz, bijąca zewsząd, promieniejąca z obojga wokoło, wokoło...

Urwał. Podszedł do niej.

Nieprzytomny dźwiękami, porywem w nieskończoność, blaskiem świętego ukochania, w ba-

jecznym naborzeństwie przytulił głowę swą do jej serca.

Spojeni uściskiem wmadlali się duszami w siebie, a dokoła nich drżały jeszcze coby tylko umilkłe tony, a gdzieś hen hen daleko konało widmo przeszłości, zwyciężone miłością.

\* \* \*

W jakiś czas koła towarzyskie obiegała pogłoska o ucieczce Skłowskiej z Łoniczem, później o rozwodzie jej z mężem, odebraniu przez Lenę posagu, zupełnej zgodzie na wszystko Skłowskiego, który zresztą sam, czy to w reursie, czy u przyjaciół, czy w gronie kokot i towarzyszy hulank w gabinetach, opowiadał cały przebieg końca swego pożycia z małżonką, dodając do tego wcale dosadne określenie przyczyn, powodów rozstania. Jeden, głośny zresztą jako skandalik — a mianowicie stosunek ze znaną demimondinką Fifiną, znany był powszechnie i komentowany na niejednym zebraniu w bogobojnych domach rodzinnych, szanujących cnotę i wszelkie uczi-

wości, analizowany do dna przez mamy, ciocie, papów, synków i córeczki, wśród których salonowi nowinkarze z zawodu trzymali jak zwykle prym, bawiąc towarzystwa różnymi szczegółami, szczegółikami, przeważnie zmyślonymi, ale znacznie więcej interesującymi niż wszystkie inne kwestye, dotyczące bieżących chwil.







# **PIERWSZA KOCHANKA**





ego rodzice dawno umarli. Po ich śmierci został samotnym — zupełnie samotnym. Nie miał rodzeństwa, a ci, co się nim opiekowali przez czas nauki w szkołach a potem w uniwersytecie, nie rozumieli go, ani nie okazywali serca na tyle, jak tego pragnął. Patrząc od dzieciństwa na smutki życiowe, walcząc z brakami i pustką wkoło, wiodąc dzień za dniem w głębokim zniechęceniu do swego otoczenia: najprzód w szkołach i wśród opiekunów, później między kolegami w uniwersytecie, Liwski z coraz większą mocą wrywał się przed siebie, coraz bardziej pragnął, aby wszystko to, co jest, w czym tkwił, minęło.

I pożądał dla innych także zmian i szukał dla nich, zarówno jak i dla siebie, nowych dni, atmosfery świeżej bez błotnych miazmatów, parujących z ludzkich dusz.

Chciał widzieć dobro wkoło siebie, czuć je, mieć w sobie.

Jakieś przedziwne krainy świeciły mu refleksami blasków wieczystego szczęścia. Wyciągał ku nim dłonie i coraz goręcej marzył o nich.

Marzył i tylko — marzył.

Dziwne. Zrazu zdawało mu się, że z czasem te krainy odnajdzie na ziemi, później z gorczyczą wyzbył się czczych urojeń. Przeniósł mary poza światowy krąg, rzucił gdzieś w otchłanie i śnił o nich jak o tem, że do ich wrót prowadzi drabina z bólu, prawie z samego bólu. Ale im dłużej żył, im więcej cierpiał, walką o jutro męczony, rozterką wewnętrzną, palony pytaniem nużącym, niespokojnem, dlaczego jest tak jak jest, im więcej stawał się bezradniejszym w nużącej go roli człowieka — sny rozwiewały się, aż rozchwiały zupełnie. Zostały zastąpione czarnym zmierzchem, mgławicą z prochów ciemnych.

Przestały dlań istnieć.

Z utkwionym wzrokiem w masy szarpiące się wzajemnie, powlókł się swoją ścieżyną obejmowany w uścisk newrozy.

Chwilami żądał się widzieć posągiem, szkieletem, mumią, pragnął nic nie czuć, nie widzieć, nie rozumieć.

Wolał wieczystej, nigdy nie ginącej martwoty, by w niej znaleźć ukojenie.

Chwasty z najohydniejszych scen życia grały na jego duszy, wrywając dźwięk po dźwięku.

Nie — nie mógł pozostać martwym między żywymi.

Pytanie, dlaczego tak jest jak jest, czemu zbrodnia pokutowała i pokutuje na każdym kroku, czemu wrosła w każde tchnienie, z wściekłością tłukło się w jego piersi, łkało żałością, wtórując nędzy człowieczej, która cisnęła się ku niemu i jakby milionem dłoni rwała na szczyłki serce, przepojone bólem.

Och ten ból!

Widmem, skuwającym łańcuchami, był on dla Liwskiego, stawał się wyraźniejszym, im głębiej smutkiem wrzynała się prawda istnienia w duszę jego.

Widziadłem — fatalizmem był, czemś strasz-  
nem, okropnem.

I czasem w długie wieczory, kiedy samotny siedział w nędznej izdebce swojej, ból

szepty długie wiódł, opowieści niósł z męczarni jednych złożone, szydząc z walki usunięcia cierpień, każdą opowieść kończył twar- do, niezachwianie słowami: nigdy nikogo nie opuszczę, bom jest zawsze i wszędzie.

A Liwski z obłędem w oczach, z obłędem w twarzy pytał ciszy, zalewającej pokój: więc tak, tak, tak? On jest wszędzie i zawsze?

Chwytała go silniej newroza. Pytał i nie wierzył, nie wierzył.

Za młody był na to, by nie mieć żadnych nadziei, żadnych złudzeń.

Po odrętwieniach budziły się one.

Nie były to już te dawne młodzieńcze sny długie, raczej słabe, przemijające majaki, ciemnym pyłem wnet zakrywane, w ciemnym pyłe błakające się, szare, chorobliwie szare.

Zjawiały się z tem ułudnem — a może — które ma w sobie jakąś rozkazującą siłę istnienia przez nadzieję małą, prawie minimalną.

Miewał nadzieje...

Od lat chłopięcych malały te olbrzymy zrazu, i niepojęty smutek ogarniał go i straszny żal pętał, gdy nikły, kiedy stanęły za nim martwe a zradzane z mrzonek lepszego jutra, lepszej doli.

Dlaczego nie ziściła się żadna? Czy stawał szalone wymogi? Chciał uczciwie żyć na każdym kroku ścieżki mu przeznaczonej.

Uczciwie żyć — to takie proste, a przecież życie nie pozwalało mu, nie pozwala, czy pozwoli?

Tu na myśl przyszło Liwskiemu, ileż to razy musiał kłamać, aby żyć, bo i inni też robili.

Ileż razy musiał nie być sobą, bo inni nie byli nimi również.

Ile razy grał, jak okoliczności losu kazały, przed którymi ugiąć karku męką mu było a razem koniecznością.

Ile razy przekleństwem, podłostką hańbił się, zmuszon do tego.

Musiał — żyć musiał i — nic więcej.

I gdyby bardziej kłamał i oszukiwał, byłby żył lepiej. Może tysiące zazdrościłoby mu.

Omijał jednak zło, na ile mógł, na ile to zło rozumiał, że nim jest, omijał... później...

Ze smutkiem głębokim obrzucał Liwski swoją izdebkę marną, lichą.

Później...

Twarz, skrzywiona bolesnym uśmiechem.

W labiryncie węzłów i węzełków rzuconej sieci, kiedy złudzenia jego i nadzieje gigantami były jeszcze i tęczowe piękna w dalach ukazywały, mając — jedna z mar, mar tylko, cudowne pragnienie wyrodziła w jego duszy.

Skrystalizowała w niem wszystkie ogromy uczuć, objęła silnie.

Była to więź, żądająca od serca tego, czego mu ono poskąpiło, między innymi, czego nie chciało dać; było to rozszalałe swą mocą chcenie serca, gwałtowne pożądanie bratniej duszy, namiętnia ujęcia jego biednego istnienia z istnieniem drugim, łaknięcie tkliwości, poświęcenia, umiłowania bezmiernego, zrozumu jego wewnętrznego świata.

Te chwile...

Te chwile, w których śnił o przyjściu równego mu serca, serca kobiety, bo ono tylko mogło obdarzyć ciepłem ukochania takiego, o jakim śnił — ten czas upajał rozkoszą przyszłości.

Stwarzał ją, nizając mozolnie. Składał wolno całość z najdrobniejszych cząstek, całość wypowiedzenia siebie komuś, co podzieli, przyjmie jego zawartość i nie będzie się znęcał



nad nią, lecz odnajdzie treść do jego treści podobną i odda mu ją.

Tylko samotnik wie, tylko ten, kto przez drogę życia opuszczonym przechodzi, jak wielkiem szczęściem jest podobna chwila.

Czekał na nią. Czynił, co tylko możliwe, aby osiągnąć.

Pamięta to. Pamięta jak rzucał się, jak szalał nieomal.

Czekał coraz goręcej, niecierpliwiej, szukał, szukał, starał się zdobyć.

I wtedy to...

Z pliką świadectw on Liwski, kandydat nauk, on uczony o iluż potrafił ludzi, gdzie nie kołatał?..

Nic — nic — to w rezultacie. Jedno z wielu żądań sprawiedliwości obróciło się w czczość. Po latach ślęceń, pracy...

A to płaszczenie się, kłanianie, prośby błagalne — deprawacya ha ha!

Liwski śmiał się z obrzydzeniem, wstrętnie.

Kandydat czemże, czem dziś on ustopniowany -- korektorem brukowego świstka!

Po okrzyku znów cisza, znowu myśli ciężkie goryczą.

Szukał więc zarobku a z nim urzeczywistnienia swych marzeń.

Zjawy i sny, kołowrot z szarów i nadziejskich uniesień wzięły go w posiadanie swoje, karmiły ułudami aż...

Och tak.

Nie zawsze sama natura wytrąca człowieka, nie to, co jest w jego wnętrzu, ale losy, ale te kamienie czy kamyki, przez które pada, ale kolce.

On nie chciał tego, nie nie nie!

Ile męczarni przeszedł, nim to uczynił a przecież.

Liwski niespokojnie powstał z miejsca i zaczął przebiegać mały pokój.

Nie chciał uczynić — a jednak...

Kupne pocałunki, uściski — błoto — zaskowyczały słowa, rwąc chrapliwie z krtani — kupne, kupne tak tak — charczał wściekły.

Groźny, pałacy, pełen wyrzutu wzrok padł w okno, wzrok, szlący nienawiść tam w męty życia, gdzie od koronek i brylantów aż do łachmana tańczy cynizm z obłudą, kłamstwo z świętokradztwem, fałsz z popędem uczciwości, tam, gdzie...

Liwski załamuje ręce.

Błazeństwa, błazny, linoskoczki — krzyczy i grozi pięścią. Ty rozmodlona przed ołtarzem ulicznico brudna, brudna ty, życie!..

Nie jestemże waryatem, pyta siebie, waryatem, wykrzykującym utarte frazesy?

Czyż to nie naturalne wszystko? Och tak tak — naturalne, stare, znane i podłe.

Natura ludzka, zdemoralizowana otoczeniem pełnym rozkładu i demoralizująca się nieustannie bez ostoi w jakimkolwiek bądź kierunku — nic więcej, nic poza tem...

Czuł swój upadek, czuł jak wstępował weń, póki nie zagrzązł zupełnie, topiąc jedno z najpiękniejszych pragnień w rozpuście.

Splamił siebie, okradł samego siebie.

Do hańby przyłożyli dłonie *tamci*, inni po hańbieni i marni.

Popełnił zabójstwo i wyrwał z siebie jeden z owych cudownych kwiatów i rzucił w błoto jak wszystkie...

Pamięta ten wieczór...

Smutno, ogromnie smutno było w jego izdebce. Jakaś duszność, jakaś rozpacz wałęsała się około nagich ścian, to pełznąc środ-

kiem pokoju raz po raz wzniecała w nim wielkie, nieutulone pożądanie zwaleni wszystkiego w stos gruzów, połamania, zniszczenia. Bo i co to wszystko było warte, skoro on a z nim miliony cierpiały, męczyły się i szarpały?

Tak — co za wartość tego była?

I kiedy myślał nad tem, nie dopuszczając żadnych konsekwencji, w jego duszy podniosła się wrac szalona moc, do obłądu prowadzące pragnienie kobiety, kobiety nie ulicznej, której by był chwilowym nabywcą, nie biednej kome-dyantki, arlekina, wykwitłego niby chorobliwy kwiat na glebie zwyrodnienia.

A wtedy przerażające nieziszczenie i ta nędza i to pojęcie, ilu w tej chwili walczy o różne cele, ilu pada...

Całe życie z siecią wstrętów przybiegło doń i targało, targało...

Na ulicach było mroczno, ciemno prawie.

Wybiegł, szedł prędko. Wrzało w nim od przekleństw, od nienawiści do tłumy, zalegającego trotuary.

Palilo go, chwytala anormalność.

Padł na jednej z ławek alei, do której zaszedł, padł zgorączkowany, nieprzytomny.

Ścigał kobiety wzrokiem rozgorzałym, błędnym. Narkotyzował się niemi, ich ruchami, słowami, zalotnością, wyzywającym spojrzeniem.

Pierwsza lepsza, co ujrzała go samotnym, może głodna, może tak jak i on ze zdeptanymi mrzonkami i z tem może — „co żyć, żyć zmuszało“ ...

• Pierwsza lepsza, przyzwyczajona do wędzideł, zachęciła go i poszedł.

Nawet nie wiedział, jaką była, zdaje się młodą, piękną...

Poszedł do niej chory, półprzytomny.

I — spełniła się zbrodnia jedna więcej, spełniła, niszcząc jeden więcej dźwięk piękna duszy.

Liwski wzdrygnął się na to wspomnienie chwil u pierwszej kochanki, wstrząsnął się. Oczy mu zapełgały.

Porwał za butelkę z wódką.

Haust po haście — dużo, dużo razy.

Usiadł bezradny, rozełkany w sobie.

Alkohol mętnił uczucia, myśli.

Ktoś puka. Po chwili wchodzi, brutalnie wchodzi.

— Ona, ta jego pierwsza, najpierwsza.

Z mętów.

— Przyszłam...

— Dobrze, dobrze, bardzo dobrze. Patrz, spójrz ha ha ha, patrz, dyplomy widzisz moje no dyplomy a — a ten szereg listów widzisz to odmowy, to zapory, to moje fatum, a... a tu, tu wódki resztką, tu ja, a tam ty, pustka, nędza.

— Upiłeś się — daj wódki, coś tak wesoły, zawołała ze śmiechem.

— Masz — pij — upiłem się, oszalałem! Osza... sza... la... łem, o... sza... la... łaś... — śpiewać począł i w takt tańczyć z porwaną w objęcia dziewczyną, która trzymała w ręku butelkę i śmiała się, śmiała hałaśliwie, głupio.



# UPADEK





Wytwornie urządzony salonik. Dwoje drzwi: jedno w głębi, drugie z lewej, pianino, dużo kwiatów przy oknach z prawej. Godzina piąta po obiedzie. Na stoliku zastawa do likieru i czarnej kawy. Stasia w wykwintnej spacerowej toalecie, nadzwyczaj elegancka, nieco jaskrawa w ruchach i cyniczna, siedzi rozparta na fotelu i pali długie, cienkie cygarko. Niuta w koronkowym, kosztownym szlafrocжку chodzi z założonemi na głowę rękoma i zcicha pogwizduje. Jest zdenerwowaną, choć w łagodnych ruchach niebardzo to uderza, zato kiedy mówi. Obydwie b. ładne.

## SCENA I.

*Stasia (zakłada nogę na nogę, zaciąga się dymem i jeszcze lepiej rozpięra się w fotelu).*  
Och la la, jak ty jeszcze zielono masz w głowie? No więc cóż? Puść go w trąbę i koniec! Czy między nami inaczej bywa? Jeśli nie gorzej to... och la la la...

Niuta (*chodzi i gwizdże — poczem*) Psjaduszka! Nie myśl, że mi tak dalece o niego chodzi! Tylko, widzisz, proste przyzwyczajenie...

Stasia. Przynajmniej nie blaguj. Blague ma chère! Ale właśnie to jest głupie... (*zrywa się i z mimiką niby ku niebu parodjuje z patosem*). Sentymentalizm!.. Miłość!.. Wierność! Ha ha ha! Ależ moja droga, ludziska dzisiaj ani marzą o tem! (*wzrusza ramionami, chodząc po pokoju, przygląda się stojącej koło pianina Niutce*). Wszystko business. Na przykład ja, ty i ci nasi i wogóle wszyscy zawsze i wszędzie uprawiają business! Captez vous?

Niuta (*milczy*).

Stasia. Przyzwyczajenie! (*wzrusza ramionami*). Rozumiem, przyzwyczać się do czegoś, co może być moje na zawsze, więc do pierścionków, sukien, urządzenia mieszkania, ale człowiek! Phi... (*patrzy na Niutę*). Niuta, ty mnie do pasyi doprowadzisz, do ostatecznej pasyi! Jak Mankiela kocham, pójdę sobie i nie zajrzę, aż znajdę cię znowu tą wesołą, kochaną... Niuta... (*prosząco*) no Niuta... więc pociś przysyłała po mnie? Radzę, tłumaczę. Cóż to, nie uskładałaś sobie monety przez te siedem lat? Ja mam trzydzieści tysięcy dotąd, bi-

żuteryi za trzy, konia, powóz, no a meble — Tararamta! A dalej... Niuta!

Niuta (*uderza w wiolinie jeden klawisz*). O, jaki smutny głos, akurat musiałam trafić w ten... (*odchodzi od pianina*). I cóż mi z tego, że mam kapitał, co mi z tego szyku?... Ale nie, masz rację, Stacha! Licho z nim, pójdzie precz — co zaś dalej — to już... (*gwizdże cicho, zamysłona wzdycha*). Tak...

Stacha. A przecież, przecież!.. Zaczynasz nareszcie kombinować rozumnie! Pocałunkami każdy darzyć potrafi! (*podchodzi do Niuty i pochyla się nad nią*). Zle myślisz, że warto którego naprawdę kochać...

Niuta (*łapie ją nagle za głowę i boleśnie całuje*).

Stacha. A! Jak ty całujesz!

Niuta (*śmiejąc się wymuszenie, dziko trochę*). Boli? Mha ha ha — boli? (*wesoło i fałszywie*). No, wychylmy — świetny likier, sam siebie przechodzi! Pij!

Stacha. Jeśli i Ryszarda tak całujesz, no to nic dziwnego, że tak szybko chce cię opuścić. Ledwo się oświadczył jakiejś tam córce kupca — no ale, bo ty czasem rzeczywiście masz głupie koncepty! (*chodzi urażona*).

**Niuta** (*dolewając sobie co chwila likieru i popijając go wraz z czarną kawą*). Cicho, cicho... Założyłam się onegdaj z hrabią Pawłem, wiesz z „Bziczkiem“.

**Stasia**. Cóż mnie to może obchodzić!

**Niuta** (*zapala papierosa i ciągnie, siląc się na obojętność*)... Założyłam się, że dam pięć strzałów jeden po drugim w asa pik! Allons donc...

**Stasia** (*zapominając o urazie*). Byliście w strzelnicy? (*z zachwytem szczerym*). Jak ten Bziczek strzela pha! No i co, co — o co założyliście się?

**Niuta** (*zamysłona*). Och, to mniejsza... ale raz tylko chybiłam! (*Mówi w podnieceniu*) Raz jeden — Paweł mnie doskonale wyuczył.

**Stasia** (*trochę zdziwiona*). Zachorowałaś na strzelnicę, czy też Pawełek tego... (*robi młynka palcami i łączy dwa razem końcami*). Co? Hm... bogaty i obojętny dla ciebie nie jest.

**Niuta**. Wstrętny cynik! (*otrząsa się*) brr — w obejściu z kobietą z jego słów dosyć poznać.

**Stasia**. Cóż stąd? (*podejrzliwie*). Ale poco ci owa wprawa? Strzelasz doskonale, mój baronek nawet zachwyca się — kochany idzio...

Śmiał się kiedyś u mnie, że jakąś wyprawę masz zamiar zrobić, pytał się, czy masz wojskowego? Bo istotnie, co ci z tej pukawki? Chyba jedziesz do Honolulu (*śmieje się*).

Niuta (*obojętnie*). Zabawka dobra, jak i inne. (*Milczenie. Stacha patrzy podejrzliwie i z niepokojem*).

Stasia. Daję słowo, ty nietylko na strzelnicę zachorowałaś, ale i na tego swego głupca. E, do licha — zamyślajże się, zastanawiaj, a mnie nie sprowadzaj i nie psuj humoru! Dowidzenia! (*chce wyjść*). Bzika masz!..

Niuta. Nie, nie! (*z jakąś obawą nieokreśloną*). Nie odchodź! (*chwytą ją za rękę*). Zostań! Baw się, śmiej, paplaj, radź, graj, rób co chcesz, tylko nie chodź! (*bardzo serdecznie*) Stacha... ja sama nie zostanę tutaj, a wyjść... gdzie—zresztą on tu ma... dziś... przyjść (*twardo*) ma przyjść. Pisał o tem list — (*wskazuje na stolik*) czytaj...

Stacha (*czyta*). Droga Niusiu. Będę po obiedzie — rozmówimy się ostatecznie. Mam dla ciebie coś pocieszającego — reszta za widzeniem. Ryszard — o szóstej.

Niuta (*szyderczo*). Pocieszającego! Rozumiesz? (*z obawą*) On myśli...

**Stacha.** Ileż zażądasz? Kazałabym sobie dobrze zapłacić. Masz go w ręku: żeni się, możesz zrobić skandal. Szkoda, że mój baronek stary kawaler, gdyby on się żenił — no!

**Niuta** (*dziwnie*). Policzymy się, (*z naciskiem*) policzymy nadspodziewanie!

**Stacha.** A potem wyjeżdż. Nawet — wiesz co? Ja z baronem do Biarritz, jedź i ty! Możesz tam kogo znaleźć, a te tam... uczucia (*ironicznie się śmieje*).

**Niuta** (*zmienionym głosem — stanowczo*). Z Ryszardem się nie rozłączę. Nie!

**Stacha** (*patrzy na przyjaciółkę z politowaniem, patrzy przez ramię*). Kochasz, kochasz? Ha ha ha!

**Niuta** (*wybuchając*). Nie śmieję się! (*półgłos*). Nie mówiłam ci nigdy o sobie, o przeszłości, bo po co? ale teraz, kiedy nie wiem, co począć, co robić (*załamując ręce*).

**Stacha.** Uspokój się, uspokój tylko...

**Niuta.** Z ciebie całkowicie już zrobiono mebel, ale ja... (*boleś. cicho*) ja z tym człowiekiem tyle lat, tyle czasu — ja dla niego i przez niego (*cicho*) upadłam. Żenić się ze mną nie mógł ze względu na matkę, ojca, którzy zagrozili wydziedziczeniem, gdyby

mieli za synową swą subretę — mniejsza... ale on przysięgał...

**Stacha.** Pha ha — kłamał — stare dzieje! Bawił się panicz.

**Niuta.** Nie... nie, nie — tylko interesa jego podobno zachwiane.

**Stacha.** Podobno! Ot zeni się poprostu dla tego, że robi „phartyę voilà!“ W tem cała rzecz — za mało miałaś kochanków! Ja — legion i stąd kpię sobie z tej hołoty. Urządza się jak mu wygodniej — a ty... ty wierzysz, o naiwności!

**Niuta.** Nie, nie—za uczciwy na to, żeby mnie rzucać tak bez powodu głębszego.

**Stacha.** O, o (*Niuta chodzi zrozpaczona*).

**Niuta.** Jeśli zerwie naprawdę — przypro-wadzi mnie tem do ostateczności!

**Stacha.** Masz tobie. Nie trzeba życia brać tragicznie! Nie zechcesz innego, (*ironicznie*) nie zakochasz się — wdowie życie popro-wadzisz, ale czy ci wystarczy, co masz, na takie ak teraz? (*zegar wydzw. szóstą*).

**Niuta.** Nie, nie, ale ech?—Dlaczego on zeni się—o Boże—o Boże...

**Stacha.** Szóstą—(*ociągając się*). Pójdę — ale radzę...

Niuta. Nie odchodź. Boję się z nim zostać — jeszcze, (*rozgląda się po pokoju niepewna i lękliwa*) tu się może co stać — ja sama...

Stacha (*kryjąc obawę irytacją*). A wiesz co, tego już zanadto. Poniżać się wobec niego — robić skandale, zatrzymywać! (*dzwonek*)

Niuta (*z lękiem*). On. Idź do buduaru (*Stacha odchodzi*).

Stacha (*od drzwi*). Zimno, brawurowo z nim.

## SCENA II.

Ryszard (*elegancki z ryżemi bakami, wystrojony podług ostatniej mody*). Desperackie spojrzenie! Kobieto — (*całuje Niutę w rękę*) no moja droga, cóż począć... (*Niuta milczy*). Niepodobna mi przecież ciągle takiego życia prowadzić, a potem (*patrzy na zastawę — nalewa sobie likieru*).

Niuta. Aa!

Ryszard. Interesa — mówiłem ci, no i pisałem, a teraz powta...

Niuta. Więc ty naprawdę! (*Zjadliwie*) Nie jestem ci potrzebna?

Ryszard (*gładzi bokobrody, przechadza się obojętnie*). Dosyć ci okazałem w naszym



pożyciu przywiązania. Materyalnie zapewniłem byt, nabyłaś poloru...

Niuta (*zimno, ostro*). Myślisz, że tak rozstaniemy się...

Ryszard. Ja się grózb żadnych nie ulęknię, a i spodziewam się — wszelkie bezcelowe komedye...

Niuta. Czy ty, ty nie zastanowiłeś się nigdy nad tem, co nazwałeś przywiązaniem? Że ja — ja zostałam twoją...

Ryszard (*wybuchu śmiechem*). Ależ i ja cię kocham — tylko dlaczego mam uczucia na pierwszym planie stawiać — pha! Ładnie bym wyglądał.

Niuta. Więc kto inny — ja nic — co cię to obchodzi. No, a jeśli ja się oprę, oprę wszelkimi siłami — nie... bo przecież trudno mi wierzyć — nie, to niepodobna... Ryszardzie — po tylu... latach...

Ryszard (*po chwili — sucho*). Położą mi sekwestr na rodzinnym majątku.

Niuta. Kłamiesz! (*mierzą się oczyma*).

Ryszard. W tych dniach przegrałem, spytaj Kotwicza, dużo, za dużo, (*unosząc się*) a wszystko nerwy, nerwy, nerwy! (*szczerze*) Nie wierzysz? Nie? Spytaj.

Niuta (*stoi ze spuszczoną głową i milczy; po pauzie*). Wiele — ja ci dami — oddam...

Ryszard (*smutno a zarazem litośnie i po-  
błażliwie*). Siebie byś w nędzę wprowadziła,  
a mnie nie zbawisz tem...

Niuta (*milczy*).

Ryszard. To tak. Namiętności — masz!..  
Trzeba nam się Niuta rozstać, (*miętko — pod-  
chodząc do niej*) i nie trzeba robić scen.  
Wszystko jest winą mojego temperamentu — ja,  
dziecko, muszę się ratować, aby nadal jakoś  
inaczej (*bierze ją w pól i patrzy w oczy, gładząc  
włosy*) żyć... takich jak ja nie warto kochać —  
nie Niuta (*całuje znerwowaną jego zbliżeniem,  
potem odchodzi*).

Niuta (*ścigając go namiętnem spojrzeniem,  
opuszcza się na kartę*).

Ryszard. Gdybyś mi była obojętną, ot  
igraszką poprostu, nie zadawałabym twoich  
kaprysów, przez kilka lat nie spędzał u ciebie  
tylu, tylu chwil, wreszcie, rozstając się, nie my-  
ślałbym (*zacina się, jakby myśląc nad czemś*).

Niuta. O czem?

Ryszard. Jak pozwolić ci na dalsze pro-  
wadzenie domu, jaki dotąd prowadziłaś. Bo  
procent od tego co masz to — żarty.

Niuta (*patrzy nań pytająco i podnosi się z karta*). Więc?

Ryszard. Jeśli zechcesz, mogę cię powierzyć opiece (*zapala papierosa*).

Niuta. Z jakim spokojem, z jakim ty spokojem to mówisz! (*półgłos.*) Nie, naprawdę ha ha ha ha... cóż więcej?

Ryszard (*spokojnie*). To są niezawodne ręce a przynajmniej także na długi dystans. Wiem, że zrobiłaś oddawna ogromne zresztą wrażenie...

Niuta. — Kotwicz...

Ryszard. Tak. Proponował ci? Prawda, lepsze daje warunki — a, może.

Niuta. Jakiś ty potworny! podły! podły!

Ryszard (*strząsa popiół — wytrzymuje pauzę, a potem prawie szorstko*). Nie chcesz? Jak uważasz.

Niuta. Przegrałeś do niego, co? Ha ha — co? I teraz...

Ryszard. — Nie! Oburza mnie tylko twoja lekkomyślność — rób sobie więc co chcesz! (*milczenie. Ryszard szybko chodzi po salonie — Niuta patrzy na niego oczyma, wyrażającymi tysiące sprzecznych uczuć*).

Niuta (*cicho*). I to ty, — Ryszard — a! a — (*podn. głos*). Tego cynika!

Ryszard. Jakiego znowu cynika? Osza-  
lałaś — że wesoły...

Niuta. Ty—dla którego, (*patrzy na niego  
z przerażeniem*) którego miałam.

Ryszard. No cóż takiego?

Niuta (*z rozpaczą*). Kochałam — tak ko-  
chałam, (*ciszej*) tak kochałam...

Ryszard (*patrzy obojętnie i pali*). No i czy  
warto rozszerzać w kim widnokreśli. Psch —  
ot — myślałem, że masz tyle rozumu...

Niuta. A mam, mam — o mam. Dzięki  
ci za wszystko — dzięki — bądź zdrów — (*za-  
stania oczy na mgnienie*).

Ryszard. Tylko bez spazmów, to powinno  
raz wyjść u was z mody, jak Boga kocham.  
Zamiast spazmów spojrzij lepiej (*wyjmuje pu-  
detko z pierśc.*) na ten pożegnalny pierśc...

Niuta (*gorączkowo, rozpaczliwie*). I cóż,  
kiedyż — możesz go sprowadzić choćby za-  
raz — pha — a... idź, idź — idź!

Ryszard. Kotwicza — ależ owszem, jest  
w klubie — nawet powiem ci po cichu—czeka...  
Zatem dowidzenia (*wychodzi z ulgą. Niuta  
osuwą się na kozetę i rzewnie zaczyna płakać.  
Płacz i trzask drzwi wywołuje Stasię. Uchyła  
portyery i zagląda*).

### SCENA III.

Stacha. Po... już?.. no? Co — płaczesz? Wszystko słyszałam. O, jaki ładny pierścienek, ze sto pięćdziesiąt wart... (*chce jeszcze coś powiedzieć, ale urywa, spoglądając na tkającą Niutę*). I czego właściwie, czy tego, że zgodziłaś się na Bziczka? Ależ to dowód twojej praktyczności! Ja sama inaczej nie zrobiłabym!

Niuta. Ha ha ha! Ha ha ha ha!

Stacha (*patrzy na nią ze zdziwieniem*).

Niuta. Tak... zgodziłam się, zgodziłam... no bo cóż—no bo... (*milczy chwilę*).

Stacha. Jeśli jednak Kotwicz jest ci nie w smak to... to możesz kogo innego, albo i wcale—możesz wyżyć... tylko „takie życie...”

Niuta. A! — wszystko jedno, (*rozpaczl. cicho*) wszystko już jedno (*opiera się o słupek z kwiatami przy oknie, po chwili odwraca się i mówi zgorączkowana*) Ten, inny — teraz...

Stacha. Ja ci zawsze powtarzam, że kochać nie warto.

Niuta (c.). Przecież to dla mnie straszne — to... w piekielny tan rzucić się i już tylko dalej, dalej, dalej... (*milczenie*).

Stacha (*w zamyśleniu*). Jak ty jednak kochałaś...

Niuta (*jakby do niej, jakby do siebie*). Pozwoliłabym mu się zabić, każdą kropelkę krwi poświęciłabym dla niego — a!.. I to jest wogóle życie, i to są uczucia, i to jest — jest...

Stacha. Jeszcze byłam modystką, kiedy spostrzegłam, że cała sztuka żyć to użyć i kwita, a reszta... (*wzrusza ramionami*). Jestem meblem, jak mówisz — nie, gorzej — wyrafinowanym drewnem, ale przynajmniej nie przechodzę tego co ty! (*podn. głos*). Rozumu, troszki rozumu!

Niuta. Ten, inny, samotność teraz, wszystko mi jedno! Stacha, nie odejdziesz, prawda — Kotwicz ma przyjść więc... więc... I to on, on go spro... wa... dza, on mnie...

Stacha. Zanadto jesteś zdenerwowana — możebyś Kotwicza kiedyindziej...

Niuta (*po chwili*). Ach wszystko jedno, wszystko jedno! (*Chodzi po pokoju w roztrągnienu, w strasznej rozterce*). Stacha, nie od-

chodź, tu, tu teraz ha ha... ja... przecież kapitalnie strzelam, ja mu...

Stacha. Oszalałaś?! Dla błazna takiego... oprzytomnijże, co gadasz? Pha ha! O już, kulka fruu, fruu! — ale pomyśl, czy to warto, jemu albo sobie... tak kończyć i to dla niego! Neeeeee!

Niuta. Tak... prawda... tak, ale... (*całuje Stachę*) tak... poco?!

Stacha. No, ja tego na seryo nie brałam (*śmieją się, Niuta z przymusem i lękiem*). Myślisz, że ci z Biczkiem będzie źle, dobry chłopak.

Niuta (*siadając na kanapce, powtarza jak echo*). Dobry chłopak (*jakby się budząc*). Teraz będziemy szaaaleć... szaleć do upadłego, na śmierć.

Stacha (*nie czując bólu w słowach Niuty, podśpiewuje*). Et nous irons à Paris à Paris. Naturalnie...

Niuta (*z mocą*). Albo nie, nie! (*jakby się przed czymś broniła*) nie! Ja go znam, Kowtacza! Nie chcę nic, nic! (*chodzi z rękoma założonemi za szyję*).

Stacha (*siedzi i popija likier, pali i szeptem pogwizduje*). No, i co dalej?.. Wór po-

kutnicy za nic i samotności? W każdym razie przyjąć Bziczka trzeba, wypada, a potem... (*mówi to w tonie niedowierzającym. Wstaje i podchodzi do Niuty*). Idź, uporządkuj choć toaletę — jak wyglądasz?!

Niuta (*szorstko*). Błazny — błazeństwa, a... (*zatemuje ręce*). W tej chwili, w tej chwili zazdroścę ci, o — jakże szalenie zazdroścę tej zdrewniałości, tego powyrywania z siebie uczuć, które... (*pociera czoło i wolno wychodzi—Stacha patrzy za nią z tragiczno-komiczną miną, kiwa głową, wreszcie z westchnieniem siada do fortepianu — zaczyna coś hucznie próbować—ale po chwili wstaje, aby zapalić papierosa, w trakcie czego wchodzi Kilicki, a za nim wygolony, wymięty, sztywny Kotwicz w monoklu*).

#### SCENA IV.

Stacha (*na powitanie robi menuetowy głęboki ukłon*). To ja...

Obaj panowie (*mile zdziwieni*). Fru-frubonjour (*podają jej ręce*).

Kotwicz (*nałożywszy monokl*). A jak humorek pięknej Niuty?



Stacha. Nie bardzo. Zaraz się zjawi.

Ryszard (*nerwowo*). Czy mówiła co, pani wiesz?

Stacha. Ja miałabym nie wiedzieć?

Kotwicz. Mogłeś Ryszardku wątpić—l'amie.

Stacha. Ale z waszych projektów nic zdaje się, nie będzie, to jest ost...

Ryszard. Jak? co? (*z niepokojem*) dlaczego?

Kotwicz. E, vraiment? O, Ryszardku --- (*kiwa porozumiewająco głową*).

Ryszard. Z takim impetem zgodziła się— i to najwyraźniej — odrazu! Nie — musimy poczekać, to niepodobna.

Stacha. Ha, ale co zresztą i czy zależy panu na tem?

Ryszard (*maskując się pewnym tonem*). Ależ nic a nic—jeśli, no to on...

Kotwicz (*siadając do pianina*). O—Ryszardku c'est triste pour nous — no ale może osobista moja interwencya. A cóż tam baronek? (*mówiąc to, gra nowomodn. walca*).

Stacha. Merçi.

Ryszard. Poproś pani Niutę!

Kotwicz. Bo jeśli napróżno — wrócę do pockera.

Stacha (*biegnąc do buduaru*). Może ona...

Kotwicz (*podchodzi do Ryszarda*). Sensacya się nie uda, a ty zapłacisz — cóż robić.

Ryszard. Ona się zgodzi. Fanaberye, zresztą trudno, odegram się.

Kotwicz. Twoje szczęście—w razie zgody dziś lub jutro dalszy ciąg pockera co?

Ryszard. Zostawię to już na poślubie — chodzi mi o teścia, szemrze, że gram — ot kupiec — gdyby nie moje długi...

Kotwicz. Ale jeśli się zgodzi. Pha ha ha cóż to będzie za kapitalna sensacya w klubie, gdy obiegnie pogłoska, że któryś z nas postawił na karty sporą sumę lub phahaha w zamian za nią kochankę — phahaha zbaranieją! Ale co za newroza była przy grze phahaha! Bawiłem się jak nigdy — przytem perspektywa...

Ryszard. Bądź pewny hrabio, że gdyby nie to, że się żenię, nigdybym...

Kotwicz. Stało się.

Ryszard. Pamiętaj, że to sekret — dałeś słowo honoru.

Kotwicz. O my dear (*ogłąda likier*). Jednak one dzięki nam wygodnie sobie żyją.

Ryszard. Jeśli się zgodzi... ja... jednak przeczuwałem — dobrze, że przyszedłem.

Kotwicz (*śmiejąc się delikatnie z Ryszarda*).  
Zdaje się, wzbogacisz mnie o dwadzieścia tysięcy  
raczej, póki nie powrócą może do ciebie—que  
faire—ale, otóż i nasza piękna.

## SCENA V.

(*Wchodzi podniecona, zdenerwowana, Niuta, na  
której nie znać prawie żadnych zmian w toalecie*).

Niuta (*stojąc we drzwiach i mierzając oby-  
dwóch oczyma — zmienionym głosem do Kot-  
wicza*). Dzień dobry.

Kotwicz (*podchodząc do niej z lubością*).  
Stylowo — stylowo (*obrzuca ją spojrzeniem*).  
Będziemy strzelać nadal tylko...

Niuta (*idzie zwolna ku środkowi salki,  
topiąc oczy w Ryszarda*).

Ryszard. Niezawodne serce Niuto. Właś-  
nie przed chwilą nawet wspominał mi hrabia  
jak cię oddawna uwielbia — zatem?

Kotwicz (*tasząco*). A pani podobno tak  
byłaś niedobra...

Ryszard. Chimery.

Niuta (*drżącym głosem*). A pan czego  
jeszcze chcesz więcej? (*silnie akc.*) czego?

(mierzy wzrokiem Ryszarda. Stacha patrzy z podziwem i niepokojem).

Kotwicz (trochę zdetonowany jej tonem).  
No, tak... (patrzy ironicznie na Ryszarda).

Ryszard. Zgadzasz się więc? (wesół).  
Bo... czuję odprawę w gestach i we wzroku, myślałem, że się nie zgodzisz, chciałem cię z hrabią przekonywać...

Niuta (z pogardą i nienawiścią). Idź precz... w objęcia przyszłej (śmieje się histerycznie).  
Droga wolna.

Kotwicz. Energicznie (patrzy z pobłażliwą ironią na Ryszarda).

Ryszard. Z temperamentem. Haaa — no dowidzenia hrabio, skoro droga wolna... jestem w klubie—życzę... (podają sobie ręce. Ryszard wychodzi).

Niuta (histerycznie). Przyjmij, przyjmij hrabio życzenia.

Kotwicz (cynicznie). Je ne doute... (podchodzi do niej). Odprawa za surowa.

Niuta (apatycznie). A więc... siadaj pan... a — a... tak.

Kotwicz. A Fru—fru? Czyżby przez dyskrecję?

Niuta. Poszła. Nie chciała być świadkiem—  
tranzakcyi... A! (*wstaje raptem, jednocześnie i Kot-  
wicz, patrząc na nią ze zdumieniem*).

Kotwicz (*niespokojnie*). Co pani?

Niuta (*targana bólem*). Co — co — co?  
(*zbliża się ku niemu z rozpaczliwością, jakąś  
dziką, piekielną, straszną rezygnacją*). Dlaczego  
nie całujesz, dlaczego nie porywasz w ob-  
jęcia? (*cicho*). Całuj—zabij tem wszystko, za-  
bij—zabij... (*Kotwicz się cofa, przejęty zdziwie-  
niem i zachwytem*) uściskiem zduś mój ból —  
aaa... (*rzuca mu się na szyję i pociąga na ko-  
zetę, szalenie całując opasującego ją swoim  
ramieniem*).

Kotwicz. Niuta... Niuta...





**MAJAK**







dawało mi się, że to jest ona, ta moja, ta dawno ukochana, że to nie posąg Venus bieli się w półmrokach mego gabinetu, lecz jej, Ali najdroższej, Ali mającą przepyszne kształty.

Zdawało mi się...

Czy szarych chwil pasmo usposobiło mnie do tego, czy może mary dawnych wspomnień o niej, o tej jednej, co jak meteor błysnęła i zgasła na horyzoncie życia, czy kielich szampa, wychylany nie wiem po raz który, złudę wywołał—dość, ten biały posąg Wenery ją mi uosobił — Alę.

Na obnażonem pięknie księżyc bladawe kładł światła, całował ramiona, piersi, usta półrozchylone, pieśczośliwe...

Czar szedł ku mnie, coraz to większy czar z białej kobiecej postaci, blaskiem spowiniętej. Jakieś delikatne, niepochwytne, słody-

czy pełne i niepokojące uczucia budziły się we mnie. Oczy z rozkoszą bardziej i bardziej chłoneły wspaniałe linie, a usta drżały żądzą pocałunków. Księżycowe smugi, strojące jakby w zielonkawę tiule i gazy statwę, nieciły tą przezroczą osłoną tęsknotę, zapalały we mnie pragnienia uścisków, pogrążały w coraz to silniejszy zachwyty.

Począłem ją wzywać do siebie, zapomniawszy zupełnie o wszystkim, co nie było tą białą postacią — Alą.

A ona, ona, ona stała nieruchoma, milcząca, nagością ciała poprzez poświatę księżycową nęcąc, stała pyszna, nieczuła...

— Przyjdź, rzekłem, pójdziemy w bajkowy kraj, gdzie przestrzenie, w wieczystej ciszy zawieszono, płomienną barwą drgają, płomieniem strzelają wysoko, niby tumanem złotopylnym tkane.

Poprzez pyły one hen bursztynowej barwy ciągną się zarośla i śnią rozkosznie nigdy rozkoszą swą nie nasycone, pełne bezdennej tęsknoty...

W tej krainie wszystko tęsknicą przepojone tak jak marzenia, sny, miraże... Mówiłem długo błagalnie, grożąco — i raptem usłysza-

łem szept „lękam się tęsknoty, lękam płomieni“.

— Czegóż pragniesz?.. Żądasz — w rzeźbionym uścisku, wśród miękkich pocałunków, pośród utuleń, których żar w tajemę każdego przenika i sobą ćmi, chcesz w tem zatracić nas? Chcesz, by wtedy kaskady wód po górskich stokach, kwiecie na łąkach, konary drzew, gwiazd miliardy słodczy, rozkoszy pieśń nam zanuciły pod tony swoich harf?

A przez tę pieśń i dźwięki rozszemrane chcesz, by z nami w omroc miłosną padło wszystko, a potem w bezmiar się rozwiało i z nim zanikło gdzieś, hen gdzieś?..

Miał odpowiedzi, uśmiech odebrałem.

Spojr<sub>z</sub>, Alo, spojrz, mówiłem gorączkowo, błagalnie, dłoń moja w pyłach księżyca, w mroku roztańczonych, szuka ciebie, wzrok woła, usta me pragną pieszczoty.

Przyjdź... czekam z szampanem; patrz, piję, będziem go pili. Oo... Przyjdź. W szalonym zrywie, gdy na twej piersi głowę swą utulę, zapomnimy wówczas o nędzy i tułactwie. Zginie w nas lęk przyszłości, to co grobowce za nami pokryły, wtedy, o wtedy Alo, gdy utulemy się we wzajemnym uścisku i nic

czuć nie będziemy, a dusz potężne żarzewie  
zmieni nas w dwa gromy, mocą sparte o siebie  
w uniesieniu, o wtedy, jeśli już nie na zawsze,  
to chociaż na mgnienie w niepamięci zostaną  
kołowroty świata, koliska, rojne od czapek bła-  
żeńskich, lic kłamliwych, dusz brudnych i bru-  
dem swym nędznych.

I kiedy tak mówiłem, zdało mi się, że  
wszystko zginęło z moich oczu: pokój, mrok  
przesycony refrenem księżyca, że kędyś zapadły  
palmy me i storczyki — że ona jako sen cza-  
rowny wyciągnęła ku mnie swoje precudowne  
dłonie i pochyliła się nademną rozmarzona jak  
gwiazda w noc wiośnianą.

Zdawało mi się, że jest przy mnie. Z za-  
gadkowością sfinksa spogląda w me oczy,  
a cała bije tajnią rozkoszy, tajnią miłości. Opę-  
tany złudzeniem, słyszałem jak szeptała, że on-  
giś na słońcu kwitły dziwaczne kwiaty-olbrzy-  
my. Pod ich cieniem, gdy dwoje kochanków  
zasnęło, pojąc się rozkoszą bez granic—skoń-  
czyło w niej istnienie, z niem zaś świat tam  
cały zamarł. Zdawało mi się — mówiła: jeśli  
mamy paść w upojenie, to w takie, w takie...

Ujmując w ręce pulsujące me skronie, na  
ustach pocałunek namiętny złożyła.

Ten pocałunek był jednak dziwny, dziwnym był uścisk...

Dotknąłem dłonią jej lic, piersi — wyczułem chłód... chłód.

Porwałem za kielich.

Oto puhar — rzekłem, pij, pijmy szampaña, niechaj on przypomni ci wszelką marność;— wzlećmy, gdzie myśl się płacze, a szaleją serca.

Wychył kielich jeden, drugi...

Błada... zimna... milcząca...

Oto puhar, wołałem gorączkowo — oto puhar, pijmy! Alo... Alo... taka blada, taka zimna...

Potoczyłem dokoła wzrokiem.

A — a, szepnąłem, jakto, co to?

Złudzenia ustępowały.

Biała postać stała nieruchomo pośród palm, storczyków.

Porwałem się z kozety i podbiegłem jak obłąkaniec do statuy.

Więc ty — ty, krztusiłem, więc tyś nie tamta... nie Ala? Jesteś... głazem? jesteś więc tylko tem?!

Moja rozpacz nie miała granic.

Z mętów.

Dotykałem statuy, chodziłem wkoło niej jak waryat.

Nie Alą jesteś, nie, nie — powtarzałem uporczywie, smutno i, targany rozpaczą coraz większą, coraz głębszą, wyczerpywałem się nią, wyczerpywałem, pogrążając w nowsze i nowsze majaki — o niej.



**CAPRICCIOSO**







godzinie, w tej mojej przecudnej godzinie tęsknoty, gdy niewidzialne szare motyle skrzydły swemi omrocze wokoło narzuca, i popielata toń się dokoła rozleje, i popielate smutne patrzą we mnie oczy postaci melancholii, i czyjeś niewyraźne blade długie dłonie z harfy dźwięk dobywają rozmarzonej pieśni — widzę cię — schodzisz do mnie...

Twój włos czarny, jak myśli szaleńca rozwiany, twój wzrok gorący pociemniałych oczu, skrami tęsknoty rozdrzganých, twe usta gorączką namiętą spalone jak płatki róży od pożaru słońca — zwań mnie...

I biało—śniade tve ramiona, do rozkosznego uścisku gotowe, i pierś toczona, rwąca płomieniem, ty cała piękna jak ekstaza duszy spragnionej, spragnionego ciała, ty, dzika mocą piekielną demona, którego akt twórczy, akt mi-

łości w objęcia rzuca w uniesienie bierze, ty, wszechpotężna dla mnie, moja pani, wołasz mnie...

I wyciągasz ku mnie swoje dłonie jak zagadkowy posąg i spoglądasz jako sfinks, o poczucie wieczystego koła, kędy miłość z rozpaczą boski taniec wiodą...

Płyniesz ku mnie ty, cudzie wszechwładnego Boga, kobieto — kochanko, przekleństwo me, bólu, tęsknicy żarzewie, ty, nieszczęśliwych biedne ukojenie, łzo, uśmiechu, perło, ty, szatana powiernico, milionie tonów, tęcz, blasków, moje przeznaczenie, pociągasz mnie słodyczą w chwili gdy duch mój opętany żądzą, a ciało rozdrżane pożarem, w chwili gdym przytłoczony nicościami życia, rozwierasz swoje objęcia, pragnąc utulić mnie, gdzieś w zaświaty ponieść...

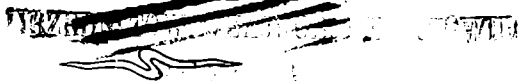
Jesteś mi znana, przecież niepojęta światami, które wciąż odkrywam w tobie, nieodgadniona jak wstęga słoneczna po zrębie śnieżnych chmur złotym swym pyłem roztańczona... Jesteś mi znana — meledyo krociowych fal, spiętrzonych razem, mgło rozwiewna, radości moja i wieczne—cierpienie, choć zostajesz majakiem.

Schodzisz do mnie i nęcisz, i wołasz,  
i mamisz...

A gdy chcę biedz za tobą, gdy mój duch sza-  
leje, kiedy się targa pragnieniem i lot ku tobie  
wyteża — giniesz w tej mojej precudnej godzi-  
nie tęsknoty, gdy niewidzialne szare motyle  
skrzydły swemi omrocze wokoło narzuca i po-  
pielata toń się dokoła rozleje i popielate smut-  
ne patrzą we mnie oczy postaci melancholii.  
Znikasz wtedy, gdy czyjeś niewidzialne dłonie  
białymi palcami z harfy dźwięki dobywają, snu-  
jąc pieśń rozmarzenia. Nikniesz, szłac mi wizyi  
swej wspomnienie, z tytana karłem czynisz.

Wielbię cię i przeklinam, przeklinam i wiel-  
bię, a w męce serce moje kona, a w męce  
duch się mój spopiela, a popiół znów w pło-  
mień obraca i nie masz końca tęsknicom — ma-  
rzeniom.

**BIBLIOTEKA**



**BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN**



## TREŚĆ.

|                             |     |
|-----------------------------|-----|
| Z mętów                     | 1   |
| Romans . . . . .            | 35  |
| Pierwsza kochanka . . . . . | 101 |
| Upadek . . . . .            | 115 |
| Majak . . . . .             | 139 |
| Capriccioso . . . . .       | 147 |















Biblioteka Uniwersytetu  
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 20475

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki